ROK I Nr 1

WYCHOWANIE

BIULETYN POŚWIĘCONY SPRAWOM WYCHOWANIA ŻOŁNIERZA

WARSZAWA 1939
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

Druk. J. Jankowski i S-ka, Warszawa. Zielna 20. Tel. 519-77.

Treść artykułów dyskusyjnych jest wyrazem osobistych poglądów autorów na daną sprawę.

TREŚĆ ZESZYTU:

DZIAŁ I — URZĘDOWY.

„Podstawą armii jest dusza prostego żołnierza".

„Najlepsza maszyna wojenna nie jest nic warta, jeżeli człowiek ją popsuje złą albo niechętną pracą". Te głębokie myśli Wielkiego Marszałka są naszym drogowskazem wychowawczym.

Człowiek jest ważniejszy niż sprzęt przez niego obsługiwany, a jego postawa moralna decyduje w stopniu wyższym niźli wyszkolenie. Jeżeli będzie miał poczucie własnej mocy, wolę zwycięstwa, poczucie honoru i odpowiedzialności za swoje czyny oraz duszę waleczną, zwycięży niechybnie każdego przeciwnika.

Duszę rzeźbi wychowanie. Wychować żołnierza, to znaczy rozwinąć w nim instynkt walki, poczucie mocy i przewagi, natchnąć go miłością ojczyzny i żarliwością bojową, rozbudzić zaufanie do siebie, do dowódców i całego narodu, wyrobić wolę chętnego, sprawnego i skutecznego wykonywania powierzonych mu zadań.

Wydawnictwo „Wychowanie" powinno dać dowódcom wszystkich szczebli pogłębioną wiedzę o człowieku jako najważniejszym czynniku walki. Powinni je czytać wszyscy dowódcy tak, jak się czyta wojskowe regulaminy i instrukcje: obowiązkowo, a wskazania w nim zawarte stosować praktycznie w pracy wychowawczej.

I WICEMINISTER SPRAW WOJSK.

(—) JANUSZ GŁUCHOWSKI

generał bryg.

BIULETYN PT. „WYCHOWANIE" — DANE WYDAWNICZE

Konieczność wydawania biuletynu pt. „Wychowanie" poświęconego wyłącznie sprawom wychowania żołnierza wynika stąd, że „Przeglądy", poszczególnych rodzai broni, jako pisma fachowe, nie mogą poświęcić temu zagadnieniu zbyt dużo miejsca. a nawet wówczas gdy na łamach tych wydawnictw rozpatrywany jest problem wychowania, to poglądy te nie są dostępne dla ogółu wychowawców.

Biuletyn wychowawczy będzie się składał z trzech działów, które obejmą:

I — wskazania dla pracy wychowawczej w oddziałach, jako wytyczne obowiązujące;

II — artykuły dyskusyjne na temat istoty, zasad, celów, metod i środków wychowania, a więc dział ten stanie się wyrazem żywego kontaktu wydawnictwa z szerokim ogółem wychowawców, co jest nieodzownym warunkiem spełnienia przez biuletyn jego zadania;

III — materiały pomocnicze dla pracy wychowawczej w oddziałach, a więc gotowe opracowania w postaci pogadanek, artykułów, utworów do wykorzystania w radiowych rozgłośniach oddziałowych i na scenach teatrów żołnierskich, bibliografię wydawnictw łącznie z oceną i zaleceniami książek itp.

Ponieważ wykonanie zadań biuletynu zależy w dużej mierze od współpracy z nim wychowawców żołnierza, jest rzeczą ze wszech miar pożądaną, aby współpraca ta nawiązała się bez zwłoki. Toteż redakcja biuletynu prosi wszystkich p.p. dowódców-wychowawców, aby zechcieli nadesłać te materiały, które już skonkretyzowały się w postaci doświadczeń, spostrzeżeń, wątpliwości i dezyderatów wychowawczych.

Oczekując szerokiej a bardzo pożądanej inicjatywy co do doboru tematów, zwracam uwagę na kilka zagadnień z zakresu metody, których omówienie będzie przedmiotem najbliższych numerów biuletynu.

1) Dotychczasowe formy pracy wychowawczej w wojsku: tryb wojskowy, świetlica żołnierska, biblioteki i korzystanie z nich, rola oświaty w wojsku, a szczególnie żołnierskiej szkoły początkowej jako czynnika wychowawczego, pogadanki, wykłady itp.
2) Skuteczność oddziaływania środków wychowawczo-propagandowych:
— *w dziale wydawnictw* — „Wiarus", „Żołnierz Polski", gazeta ścienna „Nowiny żołnierskie", poczytność i wpływ wychowawczy pewnych książek.
— *radio* — rozgłośnie radiowe w oddziałach, ich organizacja, działalność i celowość,
— dział wychowania żołnierza w Polskim Radio (audycje żołnierskie) — możliwości wykorzystania radia jako środka wychowawczego ze względu na ograniczenie czasu słuchania,
— *teatr żołnierski* — organizacja, repertuar,
— *wczasy* (wycieczki).
3) Formy wychowawczego organizowania uroczystości oddziałowych (powitanie rekrutów, wydanie broni, przysięga, pierwsza warta, ogniska na przedoboziu, pożegnanie rezerwistów itp.).
4) Formy wychowawczego organizowania obchodów (18 i 19 marca, 15 sierpnia, 11 listopada itp.).
5) Organizacja oddziaływania wychowawczego wojska w okresie ćwiczeń letnich (w oddziałach i wśród ludności cywilnej).

Materiały nadesłane przez kadrę do biuletynu wychowawczego w postaci gotowych artykułów i opracowań, wykorzystane w biuletynie będą honorowane na zasadach przyjętych w WINO dla wydawnictw wojskowych.

Warunki ogłaszania prac w „Wychowaniu"

1. Wszelką korespondencję przeznaczoną dla biuletynu wychowawczego należy kierować pod adresem:

Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Wydział Propagandy. Warszawa, Nowy Świat 23/25.

2. Prace powinny być pisane na maszynie, z odstępem między wierszami, po jednej stronie arkusza, z pozostawieniem marginesu i miejsca wolnego pod tytułem dla uwag redakcji.

3. Dla uniknięcia znacznych zmian w korekcie prace powinny być starannie wykończone pod względem stylu i pisowni. Zmiany podczas druku (w korekcie) mogą być czynione tylko na koszt autora.

4. Wydział Propagandy WINO przyjmuje prace jedynie dotychczas nigdzie nie drukowane. Praca przedstawiona do czasu otrzymania ewentualnej odmownej odpowiedzi nie może być zgłaszana redakcji innego czasopisma.

5. O powodach nieprzyjęcia artykułu autor będzie pisemnie zawiadomiony.

6. Wydział Propagandy WINO zastrzega sobie prawo czynienia wszelkich poprawek stylistycznych i skracania przyjętych do druku artykułów nie naruszając jednak zasadniczych myśli w nich zawartych.

7. Zasadnicze wynagrodzenia autorskie wynoszą: za wiersz garmondu — 25 gr, za wiersz petitu — 30 gr.

Za prace wybitnej wartości redakcja może podwyższyć honorarium.

8. Dostarczone przez autora oryginalne szkice, wykresy itp. są honorowane jak odpowiednia ilość stronic druku (lub część stronicy), jeżeli się nadają do reprodukcji. Szkice i ryciny wymagające przerysowania (poprawienia itp.) przez kreślarza są honorowane indywidualnie, zależnie od ilości pracy włożonej przez autora i kosztów przerysowania. Za oryginalne fotografie zwracane są przeciętne koszty ich wyprodukowania. Nie są honorowane: szkice, ryciny i fotografie nie będące oryginalną pracą autora (np. wycinki z gazet, przedruki z innych pism, afisze itp.).

Szef Wojsk. Inst. Nauk.-Oświat.

(—) Ryziński

ppłk dypl.

DZIAŁ II — DYSKUSYJNY.

PPŁK DYPL. KAZIMIERZ RYZIŃSKI

CZŁOWIEK CHARAKTERU I CZYNU

1. Położenie ogólne.

Polska musi się stać wielkim mocarstwem, gdyż w warunkach, w jakich żyjemy, możemy być albo potęgą, albo zostaniemy niczym.

Położenie nasze jest trudne.

Na zachodzie mamy 80 milionów Niemców, zbitych w jeden zwarty masyw, gotowy w każdej chwili runąć w wybranym kierunku, na wschodzie—170 milionów Moskali, ożywionych ideą wielkiej rewolucji światowej. Jedno i drugie państwo rządzone systemem totalnym. Jedno i drugie ekspansywne i drapieżnie zaborcze. Stosunek ich obu do nas — niezależnie od warunków koniunkturalnych, a więc przejściowych — określa historia. Stosunek to wrogi.

Od zarania dziejów naszych szedł na nas napór Germanów od zachodu, od wschodu zaś Mongołów czy też Moskali na zaborczej mongolskiej kulturze wyrosłych.

Tak było przez wieki. Tak samo jest i dzisiaj. Nic się nie zmieniło.

Parcie niemieckie na nas trwa stale i nieodmiennie. Tylko natężenie i sposoby tego parcia są różne zależnie od warunków. Nawet wówczas, kiedy stosunki polsko-niemieckie były poprawne, kiedy słyszeliśmy przyjazne oświadczenia z tamtej strony granicy, szła systematyczna, wroga nam kampania. Wychodziły w Niemczech jedna za drugą prace „naukowe", które w nas uderzały. W setkach tysięcy egzemplarzy szły mapy po całym świecie, by uzasadnić, że nie mamy praw do większości ziem Rzeczypospolitej. Niech też nikogo w błąd nie wprowadzają dzisiejsze nieporozumienia niemiecko-rosyjskie. Są one przejściowe. Nie ma sprzeczności między interesami zasadniczymi Niemiec i Rosji. Dzielą je tylko różnice ideologiczne, a czynnik ideologiczny nie może działać ani wiecznie, ani nawet zbyt długo. Perspektywa na porozumienie rosyjsko-niemieckie jest otwarta —

historia do niego prowadzi. A porozumienie to uzgodni i spotęguje nacisk na nas wschodu i zachodu.

To jest jeden czynnik naszego położenia, a drugi jest taki:

nasza struktura gospodarcza, wydajność i tempo naszej pracy jest tego rodzaju, że Polska, która by mogła wyżywić przynajmniej 70 milionów ludzi, z trudem utrzymuje 35. Pozostaliśmy daleko poza Niemcami czy Francją.

To są zasadnicze czynniki naszego położenia i z nich też trzeba wychodzić, patrząc w jutro Polski.

Wytrzymamy w tych warunkach, czy zostaniemy zgnieceni, naciskani potężnymi nożycami rosyjsko-niemieckimi, które może już jutro zaczną działać znacznie silniej?

Wszystko zależy od nas. Albo potrafimy wykonać wielki ogrom pracy, spotęgować nasze wartości wewnętrzne i między dwoma mocarstwami zaborczymi stworzyć siłę tak wielką, że żadne nożyce jej nie przetną, albo istotnie będziemy musieli ulec. Siłę tę stworzyć musimy.

Położenie nasze choć trudne nie jest jednak wcale beznadziejne. My w podobnych warunkach żyliśmy przez wieki i doskonale dawaliśmy sobie radę. Nie był nam straszny sąsiad ani ze wschodu, ani z zachodu, gdyśmy dzięki wartościom naszym skupili około siebie inne narody i stworzyli pierwszą potęgę w Europie. Taką potęgę musimy dziś zbudować.

Nie ma na to innej rady, tylko trzeba poderwać wszystkich Polaków do wielkiego zrywu. Trzeba pobudzić ich do nadzwyczajnych wysiłków i pchnąć do wielkiego powszechnego czynu. Musimy dopędzić innych, a nawet ich prześcignąć, wielką moc polską musimy wytworzyć.

W tym celu jednak trzeba rzucić narodowi wielką ideę, która by była stałym motorem działania i drogowskazem na szlaku jego dziejowego pochodu.

2. *Wielka idea potrzebna.*

Potrzebna jest wielka idea, która by ogarnęła cały naród, rozpaliła w nim zapał i entuzjazm czynu oraz wzbudziła głęboką wiarę, że jeśli ją zrealizuje, zbuduje potęgę i stworzy stan, w którym wszystkim będzie dobrze, będzie znacznie lepiej, niżeli jest dzisiaj.

Jakąż ideę damy narodowi?

Ideę potężnej — mocarstwowej Polski. To jednak nie wystarcza. Trzeba jasno powiedzieć, co znaczy mocarstwowa, kiedy będzie potężna.

Wtedy:

— gdy wytworzymy powszechną tęsknotę i żywiołowy pęd do wielkości oraz potężną wolę odegrania przodującej roli w tej części Europy;

— gdy staniemy się ośrodkiem krystalizującym wielki blok narodów, rozsiadłych między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym i blok ten zorganizujemy;

— gdy staniemy się siłą atrakcyjną dla 47% ludów nierosyjskich w Rosji i ich aspiracje niepodległościowe zwiążemy z Polską;

— gdy uśmiercimy raz na zawsze widmo nowego sojuszu rosyjsko-niemieckiego;

— gdy włączymy w nasze granice te ziemie, które były prakolebką naszej państwowości i tak ugruntujemy naszą pozycję nad Bałtykiem, że będziemy na nim mogli pracować w pełnym poczuciu bezpieczeństwa;

— gdy uzyskamy kolonie, które nam dadzą konieczne surowce;

— gdy wreszcie w nasze ręce ujmiemy całe życie gospodarcze Polski.

Musimy stanąć na czele narodów słowiańskich i niesłowiańskich międzymorza, by jedne wywieść z niewoli, innym dać oparcie, a wszystkie zabezpieczyć przed zagładą, idącą ze wschodu i zachodu i poprowadzić na wyżyny pełnego rozwoju.

Oto nasza idea naczelna. Idea ta tkwi korzeniami w naszej przeszłości, bo stawia nas na szlaku naszego dziejowego pochodu. Wyprowadza naród z dzisiejszego nastawienia obronnego i każe mu przejść do wielkiej ofensywy. A tylko ofensywa może naród porwać, rozpalić umysły, wykrzesać zapał i wydobyć nieprzebrane zasoby energii, jakie tkwią w narodzie. Odpowiada ona wolnościowym nastawieniom duszy polskiej, bo podejmuje stare hasło: „Za naszą i waszą wolność". Wznawia dawną naszą rolę rycerzy, broniących chrześcijaństwa i kultury zachodniej. Idea ta otwiera wielkie perspektywy, a jej zrealizowanie wyprowadza Państwo z dzisiejszego groźnego położenia. Zawiera ona siłę dynamiczną zdolną pchnąć naród do olbrzymich czynów, bo czynów tych wymaga.

3. *Rzućmy hasło czynu.*

Jeśli istotnie mamy objąć przodownictwo nad innymi narodami— *musimy wielokrotnie powiększyć nasze dzisiejsze wartości, musimy potencjał moralny i materialny Polski podnieść do najwyższych granic*, musimy się dźwignąć mocą własną i moc tę tak spotęgować, by im-

ponowała drugim, by szacunek nakazywała, by zjednywała przyjaciół.

Kto dziś pójdzie za nami, komu zaimponujemy naszymi prymitywnymi drogami, dzikimi rzekami, ubogimi wsiami, naszą niesłychanie niską produkcją rolną, nikłą produkcją żelaza i stali, naszymi spółdzielniami, naszą małą wydajnością pracy?

Wielkim organizatorem pracy jest Państwo. Ono zbudowało Gdynię, buduje C. O. P. i musi budować jeszcze potężniejsze dzieła. Ale to nie wystarczy. Obok wysiłków Państwa konieczna jest wielka inicjatywa naszego kapitału, naszego kupca, fabrykanta, rzemieślnika, rolnika. Konieczna jest inicjatywa, rozmach i tempo pracy wszystkich ludzi w Polsce.

Gdybyśmy podsumowali wyniki pracy polskiej od chwili uzyskania niepodległości po dzień dzisiejszy, gdybyśmy zestawili tę ruinę i pustkę, od której zaczęliśmy nasz start z tym, co dzisiaj mamy — musielibyśmy stwierdzić, że w każdej dziedzinie życia dokonaliśmy wielkiego ogromu dzieł i w każdym kierunku poszliśmy nadzwyczajnie naprzód. Ale kiedy zmierzymy ten dystans, jaki nas dzieli od osiągnięć innych narodów, musimy sobie powiedzieć, że mimo wszystko zrobiliśmy za mało, że powszechny wysiłek Polaków nie odpowiada temu szalonemu tempu, w jakim odbywa się wyścig pracy między różnymi narodami.

Z wielkiej idei mocarstwowości rodzi się — jako jej konsekwencja i warunek — idea czynu. W krótkim przeciągu czasu musimy wykonać wiele dzieł potężnych, by wyrównać ten dystans, jaki nas dzieli od innych. Musimy się śpieszyć, bo czasu zbyt wiele nie mamy. *Konieczny więc jest żywiołowy zryw całego narodu do czynu, bo tylko spotęgowanie ilości i wydajności pracy każdego Polaka podniesie możliwości gospodarcze państwa i stworzy podstawy naszej mocarstwowości. Czynów nam wielkich potrzeba.*

Czyn więc w Polsce trzeba postawić na najwyższym ołtarzu. Pracę otoczyć nimbem świętości. Szacunkiem owiać każdą pracę, bo każda jest potrzebna. Trzeba rozbudzić entuzjazm do czynu.

4. Charakter decyduje w życiu człowieka i narodu.

Wszystko to jednak zależy od wartości człowieka w Polsce, bo człowiek jest jej istotą. Wszystko zależy od człowieka, bo wszystko przez człowieka się dzieje. Trzeba więc rozpocząć wielką akcję nad odrodzeniem człowieka. *Nowy człowiek musi w Polsce wyrość: Człowiek charakteru i czynu.*

W życiu człowieka i narodu znaczy tylko czyn, znaczy tylko to,

co powiększa, czy stwarza nowe wartości moralne lub materialne. Wszystko inne się nie liczy.

Dla stwarzania jednak czynów potrzebne są: charakter, wiedza i idea.

Wiedza jest czynikiem, który nam mówi, jak dane zadanie rozwiązać; idea jest motorem, który pobudza do działania i wskazuje kierunek postępowania. Charakter zaś daje gwarancję, że w ogóle do działania przystąpimy i wykonamy je mimo największych nawet przeszkód.

Poza ideą charakter jest więc czynnikiem najważniejszym, gdyż daje gwarancję czynu. On decyduje w życiu tak człowieka, jak i całego narodu. *Trzeba więc w Polsce wytworzyć kult charakteru i postawić go znacznie przed wiedzą, a nawet przed talentem.*

My jednak mimo pozorów nie doceniamy w praktyce roli charakteru. Rozumiemy wszyscy dobrze znaczenie wiedzy i zdobyciu jej poświęcamy wiele trudu, czasu i energii. W jakim stopniu do tego są nasze usiłowania nad urobieniem charakteru? Jak wyglądają nasze programy — nie oświatowe, ale wychowawcze? A przecież wiedza jest czynnikiem zmiennym. Ileż to z tej wiedzy, którą osiągnęlismy z takim trudem, na nic nam się nie przydało, lub poszło w zapomnienie, jeśli nie posługiwaliśmy się nią, a ile nowej musieliśmy zdobywać, bo życie tego wymagało. Charakter natomiast jest czynnikiem stałym. Wola, odwaga inicjatywy i ryzyka, wytrwałość, solidność itd. raz zdobyte zostają na zawsze i są użyteczne przy każdym warsztacie i w każdej okoliczności życia.

Poza tym w życiu decyduje nie wiedza, nie talent nawet, lecz charakter. Możemy obserwować ludzi, którzy mimo wielkiej wiedzy absolutnie do niczego nie doszli i nic nie stworzyli, gdyż brakło im charakteru. Z drugiej zaś strony jednostki o elementarnym wykształceniu — jak tylu milionerów amerykańskich — potrafiły zorganizować potężne przedsiębiorstwa, stworzyć całe gałęzie życia gospodarczego i wyjść na szczyty powodzenia właśnie dzięki charakterowi. Napoleon, Piłsudski, Mussolini, Hitler i tylu, tylu innych zaczynało wprost z niczego. Wyszli oni niekiedy gdzieś z najniższych dołów i weszli na szlaki dziejowe nieraz bez formalnego przygotowania naukowego, a przecież wznieśli się na najwyższe szczyty, stanęli na czele narodów i poprowadzili je do wielkich, epokowych czynów.

Nie byli to ludzie najbardziej uczeni w swym narodzie, ale o największych charakterach wśród swoich rodaków. Byli to ludzie charakteru i czynu, owiani wielką ideą i dlatego historię tworzyli. Człowiek właśnie tworzy historię, ale człowiek z charakterem.

Czymże jest historia warsztatu, wsi, miasta, kompanii, pułku, ca-

łego narodu — jeśli nie historią pojedynczych ludzi o mocnym charakterze, przewódców, którzy innych ciągnęli za sobą i do działania prowadzili.

Czyż nie znamy takich miejscowości, gdzie życie ledwie się sączy, wszystko pogrążone jest tam w bierności. Ludzie tylko narzekają, że jest źle, zjadają się wzajemnie, walczą o drobnostki. Wtem zjawia się tam człowiek i naraz zaczyna się inne życie. Ludzie się jednoczą, biorą się do roboty, powstaje ruch oświatowy, gospodarczy, już coś budują, organizują, zakładają. Stał się cud, świat się naraz odmienił, bo przyszedł jeden, jedyny człowiek, ale człowiek charakteru i czynu.

Potrzeba nam więc ludzi charakteru, potrzeba licznych przewódców różnej miary, którzy by obsadzili wszystkie odcinki życia narodowego i pchnęli Polskę na nowe tory wielkich czynów.

5. *Typ dzisiejszego Polaka.*

Czy jednak przeciętny typ Polaka jest typem charakteru i czynu? Niestety, jesteśmy na ogół narodem biernym. Byliśmy nim poprzez całe wieki naszej historii. Chlubimy się, żeśmy nigdy wojny zaborczej nie prowadzili, a przecież było to następstwem braku prężności, zdobywczości i ducha ekspansji w narodzie, wynikało z naszej bierności. Bardzo ujemną tę cechę narodową podnieśliśmy do godności jakiejś nadzwyczajnej cnoty.

Naród nasz jest inteligentny, młody, zdolny do wielkich zrywów i wysiłków. Dlatego my właśnie powstrzymaliśmy falę germańską, która w swym parciu na wschód pochłonęła tyle szczepów i narodów, rozgromiliśmy Niemców pod Grunwaldem, zdobyliśmy Moskwę i carów moskiewskich jako jeńców przywiedliśmy do Warszawy, szliśmy po wielkie zwycięstwo pod Wiedeń. Stworzyliśmy potężne mocarstwo, rozszerzając swe wpływy od Bałtyku po Morze Czarne i Adriatyk. Narzuciliśmy swą kulturę całemu wschodowi, tak że język polski stał się językiem wyższych warstw państwa moskiewskiego. Mieliśmy okresy wielkiej chwały. Poszczególni królowie i hetmani porywali naród do wielkiego działania, ale masa była zazwyczaj wygodna i rozpaczliwie bierna.

Tak było w historii, a dziś?

Dziś stworzyliśmy tempo gdyńskie, które jest szybsze od tempa amerykańskiego. W tej chwili w C. O. P. stwarzamy jakieś nowe, polskie tempo jeszcze szybsze od tempa gdyńskiego. Tam na piachach nadwiślańskich, wśród głuchych borów w ciągu miesięcy wyrastają potężne fabryki, osady i całe miasta. Tam się dokonuje cud polskiej

myśli, pracy, energii i zapału. Uczony, inżynier, majster i robociarz polski czynami wypisują świadectwo, że potrafimy być lepsi od drugich, że potrafimy ich nawet prześcignąć.

Pomyśleć tylko, do czegobyśmy doszli, gdyby to tempo pracy, które stwarzamy w pewnych centrach Polski, przejął cały naród, gdyby ten zapał i entuzjazm czynu ogarnął wszystkich Polaków. A tymczasem za dużo jest u nas ludzi, którzy oglądają się na drugich, na rząd i czekają, by on wszystko zrobił. Czekają: fabrykant — aż mu rząd zorganizuje zbyt towarów za granicą, chłop — aż mu starosta zasypie jamę na drodze przed jego chałupą, inni — aż zalesi bezużyteczne wydmy piaszczyste, odwodni łączkę, zbuduje dom ludowy, aż rząd da pieniądze na wykupienie kamienicy z rąk obcych itd. Czekają i narzekają, że rząd za mało pomaga. Być może, że za mało, zapewne powinien więcej, ale co my? Czy istotnie myśmy zrobili wszystko, na co nas stać tylko, cobyśmy mogli i powinni zrobić? Czy inicjatywa i możliwości jednostki i grup zostały wyczerpane do ostatnich granic?

Nie, my przede wszystkim czekamy, krytykujemy i narzekamy. Krzyczymy głosem wielkim o braku motoryzacji, a czemuż nikt fabryki samochodów nie zakłada. Narzekamy na etatyzm, a dlaczego kapitał prywatny nie buduje okrętów, fabryk sprzętu wojennego itd. — Bo bierność jest w narodzie. Z bierności tej rodzi się bojaźń przed wszelkim ryzykiem, przed braniem na siebie odpowiedzialności i w ogóle przed życiem.

Młodzież nasza jest zdrowa i dzielna, ale mimo to zbyt często spotyka się wśród niej takich, którzy po ukończeniu szkół tego rodzaju jak handlowa, czy nawet szewska nie idą do handlu, ani do szewstwa, ale szukają „posady", nie pracy, a posady na poczcie, w magistracie, w starostwie — byle tylko w jakimś urzędzie. Tak wielka jest obawa przed pracą na własną odpowiedzialność, taki brak inicjatywy i woli pokonywania trudności.

Na wschodnich rubieżach Państwa wre walka z naszymi mniejszościami. Jakże często dochodzą do nas takie narzekania: Ukraińcy rozwinęli wspaniale swoją spółdzielczość. Ukraińcy wykupują ziemię i obiekty miejskie, zakładają sklepy, robią doskonałe masło, organizują się itd. Dlaczego rząd na to pozwala, dlaczego nie zakaże tego, czy tamtego?

Negację za broń używają zamiast po męsku sprawę tak postawić: Ukraińcy rozbudowują swoją spółdzielczość, my naszą rozwiniemy jeszcze lepiej, oni robią dobre masło, my zrobimy jeszcze lepsze, oni wykupują obiekty miejskie, my zmobilizujemy nasze własne środki

i także wykupywać będziemy itd., itd., bo my musimy ich na każdym polu prześcignąć naszą własną pracą.

Dlaczego tak się sprawy nie stawia?

Bo za dużo jest w nas bierności, bo brak nam ludzi charakteru i czynu.

Polska jest krajem rolniczym, a przemysłowa Belgia produkuje z hektara około 25 q żyta, kiedy my niecałe 11q. Dania prawie 30 q pszenicy, my trochę ponad 11 q. Nawet Litwa, która pod względem klimatu i gleby jest podobna do tak często głodującej Wileńszczyzny, produkuje przeciętnie więcej żyta, niż Polska ze swymi czarnoziemiami i lessami. Wydajność zaś krowy polskiej jest wprost kompromitująca w porównaniu np. z krową finladzką, czy duńską.

Dlaczego tak jest u nas? Zapytany o to rozsądny chłop polski dał krótką odpowiedź: „Bo rząd nie troszczy się o nas. Nawozy sztuczne są za drogie".

Istotnie za drogie, ale to naszej bierności rozgrzeszyć nie może. W Wielkopolsce płacą za nie te same ceny i z piasków zbierają więcej, niż Wołyń z czarnoziemu.

Bronimy się. Hasło obrony jest tak powszechne, że rozbrzmiewa na wszystkich frontach i wszystkich odcinkach. Niemcy, a nawet i Brazylia tępią konsekwentnie Polaków, a my się bronimy u siebie w swoim własnym domu. Obrona ta nie da nam zwycięstwa, bo żadna obrona zwycięstwa nie daje. Tylko przejaw siły, tylko duch zdobywczy i ekspansji imponuje i nakazuje szacunek. Tylko przejście do ofensywy na wszystkich odcinkach i wielkie osiągnięcia kulturalne i gospodarcze stworzą siłę atrakcyjną, która będzie drugich przyciągała do nas.

Spójrzmy na ten ogrom pracy, jaki się dokonuje za naszymi granicami. Wśród takich sąsiadów nie wytrzyma naród, który nie będzie im dorównywał prężnością i tempem swego działania. Musimy ich dopędzić, a nawet prześcignąć. Musimy się stać potęgą. Ale kto nas będzie uważał za potęgę, jeśli 1 hektar będzie dawał 11 q zboża, jeśli będziemy produkowali 10 razy mniej stali niż Niemcy, jeśli będziemy mieli barbarzyńskie drogi, jeśli wydawnictwa naszych książek pójdą w tysiącu egzemplarzy, gdy Litwini wydają w 7.000, gdy będziemy mieli tylu analfabetów?

Musimy wydrzeć z korzeniami bierność, to główne źródło naszej dziś słabości, ale musimy zwalczyć również i kompleks niższości, który tkwi w nas głębiej, niżby się zdawało. Wyszliśmy z niewoli z przeświadczeniem o wyższości naszych sąsiadów nad nami. To przeświadczenie żyje w nas nieraz nawet mimo naszej świadomości. Jak-

żeż często chwalimy i z uznaniem mówimy o tym co obce, a równocześnie z lekceważeniem odnosimy się do spraw naszych własnych. Jak często kłaniamy się nadmiernie obcym, a nawet przytakujemy, gdy o nas źle mówią. Ileż to razy zdarza się, że gdy się zejdzie ośmiu Polaków i jeden innej narodowości, wszyscy stosują się do niego i mówią jego językiem, a nie swoim polskim. Wszystko to naturalnie nie zyskuje nam sympatii, ale przeciwnie — wywołuje lekceważenie, a nawet pogardę tych obcych. Gdybyśmy tak zajrzeli do duszy różnych ludzi, to gdzieś w najtajniejszych jej zakamarkach znaleźlibyśmy nieraz lęk przed tym czy innym sąsiadem, spostrzeglibyśmy niewiarę we własne siły i przekonanie, że inni są od nas lepsi, mądrzejsi i silniejsi, że nie my, a oni będą decydowali o naszych sprawach. Jest to wynikiem kompleksu niższości, który tkwi w nas jako rozsadnik słabości i zarodek przyszłej naszej klęski, bo nie zwyciężymy w walce z tymi, których będziemy uważali za lepszych od siebie.

Musimy rozwinąć w sobie wiarę w naród i szacunek dla siebie samych, bo nikt nas nie będzie szanował, jeśli sami dla siebie szacunku nie będziemy mieli. Szacunku jednak nie można nakazać. Powstaje on tam, gdzie są wartości godne szacunku. Tam zaś, gdzie są braki tak rażące, że trzeba się za nie wstydzić — tam szacunek nie może się zrodzić. A u nas jest tyle braków. Potrzeba nam więc wielkich czynów, by braki te wyrównać. I to powinno się stać ambicją każdego Polaka.

Pomyśleć tylko, jakby się zmieniło oblicze Polski w ciągu jednego roku, gdyby każdy człowiek postanowił o pewien procent powiększyć wydajność swej pracy. Gdyby każdy hektar dał przynajmniej o 3 q więcej zboża, a każda krowa o 10 litrów więcej mleka dziennie, gdyby każdy rzemieślnik, inżynier, kupiec itd. wydajniej pracował, gdyby z wszystkich ludzi zbytecznych dziś na wsi i po miastach powstały bataliony, pułki, całe armie pracy, które by poszły budować drogi, kopać kanały, osuszać mokradła, zalesiać nieużytki itd., itd.

Wtenczas by Polska rozkwitła gospodarczo i swymi rzeczywistymi wartościami szacunek i wiarę w swą moc i potęgę nakazała nie tylko swym obywatelom, lecz i narodom postronnym.

Ale poza stroną gospodarczą o potędze narodu stanowi również jego siła moralna. Nic nie pomogą największe nawet zasoby materialne, jeśli zbraknie odwagi użycia ich w dniu decydującym, jeśli zawiedzie wola i duch się załamie. Na naszych oczach rozgrywały się w ostatnich latach dramaty, w których państwa niesłychanie bogate przegrywały i traciły jedną pozycję po drugiej tylko dlatego, że brakło im mocy moralnej i strach je ogarniał przed wojną.

Francja po wojnie światowej była pierwszą potęgą w Europie. Ileż to ze swego znaczenia straciła w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Ileż to razy w tym czasie ustępowała, cofała się, rezygnowała. Ileż to wojen przegrała, których nawet nie rozpoczęła. Dlatego właśnie przegrała, że rozpocząć ich nie miała odwagi. A ile ze swej potęgi utraciła Anglia, ile upokorzeń znieść musiała. Co stało się z Czechami? We wszystkich tych wypadkach decydowała strona moralna. Nic nie pomogły nieprzebrane bogactwa materialne tych państw, kiedy duch narodu nie był w stanie wytrzymać nacisków i gróźb, jakie ktoś drugi nad nimi zawiesił.

My, Polacy, nie boimy się wojny. Wiadome jest wszystkim, że my się nastraszyć nie damy, że każdy krok napastniczy w naszym kierunku prowadzi na ostrza naszych bagnetów, wiadome jest, że mamy odwagę nacisnąć język spustowy karabina, czy pociągnąć za sznurek armaty, by spowodować wystrzał. I to jest może jeden z najpoważniejszych motywów, dla których unikamy dotąd szczęśliwie napaści. Niezależnie jednak od tego musimy cały naród nastawić ofensywnie i zdobywczo. Musimy wyrobić w nim taką bojowość, by był gotów każdej chwili poprzeć natychmiastowym czynem własne interesy. Tak trzeba zahartować jego moc moralną, by nie tylko w momentach podniosłych przejawiała się entuzjazmem, ale również w dniach niepowodzeń, a nawet klęski nie dała się ani załamać, ani nawet ugiąć.

6. *Rozpalmy ruch odrodzenia człowieka.*

Wszystko to się stanie, gdy przyjdzie nowy człowiek, człowiek charakteru i czynu. *Trzeba więc rozniecić w Polsce potężny ruch odrodzenia człowieka, ruch który by siłą żywiołu objął cały naród.*

Trzeba przetworzyć psychikę narodu i rozbudzić w nim mocny instynkt walki, bo tylko przez twardą walkę możemy żyć, utrzymać swój byt, rozwijać się i stać się potęgą. Życie bowiem to walka i wszystko w nim przez walkę powstaje.

Trzeba rozpalić i do działania pobudzić tkwiącą w duszach ludzkich tęsknotę do niedoścignionej doskonałości moralnej. Trzeba sięgnąć do osobowości ludzkiej i dźwignąć godność człowieka do góry, masy uobywatelić, podnieść je kulturalnie, wyzwolić energię w nich tkwiącą i wprzęgnąć w całości do pracy nad budową wielkiej przyszłości narodu.

Nowy człowiek musi w Polsce wyrość.

A tymczasem za dużo jest u nas ludzi niesolidnych, wygodnych, miękkich i takich, którzy nie chcą zdobyć się na jasną i nie budzącą

żadnej wątpliwości decyzję wówczas, gdy interes publiczny decyzji tej wymaga, gdy inni na nią czekają. Za dużo jest ludzi, którzy boją się brać na siebie odpowiedzialność. Boją się, bo a nuż ich rozstrzygnięcie nie podoba się komuś, a nuż podważy się przez to ich fotel, na którym siedzi się tak wygodnie. Jest im dobrze i to „dobrze" chcieliby za wszelką cenę utrzymać — wzgląd na interes własny, to zasadnicza ich busola postępowania. Niech się raczej nic nie dzieje, niech się nawet dzieje źle, byle tylko oni za to nie ponosili odpowiedzialności, byle tylko swojej własnej pozycji nie narazili.

Zbyt dużo mamy „ideowców", którzy za tę ideowość każą sobie płacić, płacić i płacić. Zbyt dużo jest ludzi, którzy stosunek swój do Państwa normują korzyściami, jakie mogą z niego osiągnąć, lub wyczerpują go na stosunku do kwestii żydowskiej, ukraińskiej albo tego, czy innego zagadnienia społecznego lub religijnego. Zbyt dużo mamy wiotkich „pięknoduchów" i mdłych pacyfistów, co rozkładają odporność narodu i osłabiają jego zdolność do walki a więc i do życia.

Wszystkich ich musi zastąpić człowiek o mocnym kręgosłupie moralnym, zdobywczy i odważny, który chętnie będzie brał na siebie odpowiedzialność za decyzję i za swoje czyny. Musi przyjść człowiek twardy, uczciwy i wytrwały, przygotowany do zwycięskiej walki, człowiek który podejmie hasło „surowego życia", by w czyn je wprowadzić i rozwinąć w potężny prąd, cały naród obejmujący. Musi przyjść człowiek zdolny do ponoszenia dobrowolnych ofiar aż do ofiary krwi włącznie i całkowicie do niej duchowo przygotowany. Człowiek przeniknięty ideą wielkości i zdolny do fanatycznej pracy dla urzeczywistnienia potęgi narodu.

7. *Wojsko musi podjąć hasło urabiania nowego człowieka.*

Hasło urabiania człowieka charakteru i czynu musi podjąć przede wszystkim wojsko. Bo jeśli charakter i czyn jest podstawowym warunkiem rozwoju w każdej dziedzinie życia narodu, to wojsko bez tych dwóch elementów jest bezsilne i bezwartościowe. Istota wojska — to decyzja i działanie, a decyzja — to charakter, działanie — to czyn.

Jedyna racja istnienia wojska — to przygotowanie wojny i prowadzenie jej, gdy tego będzie potrzeba. Wojna zaś jest w istocie swej sprawą instynktu, dziedziną, w której decydują czynniki psychiczne, charaktery.

W wojsku ludzie pracują wiele i osiągają — trzeba to podkreślić — dobre wyniki. Czy jednak równie poważnie jak szkolenie, traktują sprawę urabiania charakteru i hartowanie siły moralnej żołnierza? Powiedzmy szczerze — nie.

A przecież wszystko w walce zmierza do tego, by złamać człowieka moralnie, by skruszyć jego wolę, by go przerazić i doprowadzić do takiego zwątpienia, w którym powie sobie: już dosyć, wszystko przepadło, więcej nie wytrzymam. Z chwilą bowiem, gdy się tak stanie — istotnie wszystko przepadło i przychodzi koniec — klęska. Ale nie dla tego, że brakło sił fizycznych, że nie stało sprzętu i środków walki, brakło charakteru — nie starczyło sił moralnych, które się wyczerpują prędzej, niż zasoby materialne. Strach ogarnął człowieka, a on nie potrafił go zdusić, zapanować nad nim.

Ileż to oddziałów przysięgało, że umrze albo zwycięży, a ile dotrzymało tej przysięgi? Ileż to razy całe armie składały broń chociaż miały jeszcze czym walczyć, poddawały się nie z powodu braku środków walki, ale pokonane moralnie — opanowane strachem, bo brakło im hartu, woli nie starczyło?

Walka jest dziedziną, w której decydują czynniki moralne. Bo na co się przyda doborowy materiał, co pomoże doskonałe wyszkolenie techniczne wojska i wartość taktyczna dowódców, a nawet talent, jeśli braknie charakteru, jeśli strach uniemożliwi zużytkowanie należyte cudownego sprzętu i zastosowanie nabytych umiejętności.

Co pomogło Czechom, że mieli wojsko wyszkolone i dowódców niewątpliwie zdolnych, co pomogło, że mieli najbardziej nowoczesną broń: wspaniałą artylerię, doskonałe czołgi i piękne lotnictwo. Co pomogło, że odgradzał ich od przeciwnika wieniec niedostępnych gór, najeżony linią betonowych fortów. Co to wszystko pomogło, kiedy zabrakło odwagi do powzięcia decyzji i męstwa do walki. Wszystko oddali bez strzału, przegrali wojnę nim ją rozpoczęli, bo zawiódł duch narodu, woli nie starczyło.

Ani technika, ani maszyna sama nie zwycięży. Zwycięży tylko człowiek, który nią będzie kierował, człowiek, który będzie umiał pokonać znużenie i wytrzymać trud, przechodzący wszelkie wyobrażenie. Maszyna sama nie działa. Wartość jej i wydajność zależy przede wszystkim od wartości człowieka, który ją obsługuje pod ogniem, zależy od tego, w jakim stopniu potrafi zapanować nad strachem. A potrafi tylko w tym wypadku, gdy będzie miał duszę waleczną, gdy będzie miał charakter.

Żołnierz krzepki, dobrze wyszkolony, ale o małym sercu nie jest użyteczny w walce nawet wówczas, gdy się znajdzie pod osłoną pancerza. Każdy żołnierz musi mieć charakter, a dowódca w stopniu niesłychanie wyższym, gdyż istota wartości dowódcy — to charakter i zdolność do czynu.

Bez charakteru w ogóle nie ma dowódcy. Nie zastąpią go gwiazdki, bo w boju gwiazdki nic nie znaczą. Wszystkim jest czło-

wiek ze swoją wolą, uporem, męstwem i inicjatywą, człowiek z charakterem. On imponuje drugim, on decyduje, prowadzi, jego chętnie słuchają i jego tylko szanują.

Dowódcy natomiast słabego żołnierz nienawidzi, pogardza nim i nie chce iść za nim.

A ile mocy wewnętrznej musi mieć on — dowódca-człowiek, na którego skierowane są oczy wszystkich podkomendnych, którego wszyscy podpatrują i natychmiast oceniają surowo, ale sprawiedliwie. Nie zdoła ich oszukać. Wypatrzą każdy przejaw jego słabości albo jego siły. Zarażą się jego niemocą, albo przejmą się jego tężyzną. Tyle ludzi szuka w nim ostoi i ratunku, czekają na decyzję, na rozkaz. On odpowiada za ich życie, za honor i za powodzenie akcji.

A chwile przychodzą ciężkie — wątpliwości szarpią mu duszę. Groza położenia przeżera mu serce. Instynkt samozachowawczy buntuje się i każe się ratować. Co robić? Zewsząd przychodzą złe wiadomości. Zewsząd żądają posiłków, zewsząd zieje groza i niepewność.

Wszystkimi porami wdziera się do mózgu wielki krzyk: nie damy rady, nie wytrzymamy, wszystko przepadło. Uciec, uciec stąd, dać rozkaz do odwrotu, wycofać się, inaczej niechybnie zginiemy — niepotrzebnie. Tłoczą się myśli takie mądre, takie przekonywujące, logiczne, a wszystkie instynktem samozachowawczym dyktowane — w słabości zrodzone.

Wyobraźnia pracuje. Tworzą się w niej fantastyczne obrazy grozy przeogromnej nie tylko tej, która w tej chwili wisi nad nami, ale i tej, która niedługo ma przyjść i przyjdzie — zdaje się nieuchronnie. Ta groza urojona, której się spodziewamy, to co nam w rozgorączkowanej wyobraźni nieprzyjaciel jeszcze gotuje, działa najbardziej destrukcyjnie i najgruntowniej odporność człowieka rozkłada.

Ulegnie jej, czy zdusić ją potrafi? Da się jej opanować, czy zdoła zdławić lęk, który go ogarnia. Zdobędzie w sobie tyle siły woli, tyle hartu i męstwa, by zapanować nad strachem, tyle zimnej krwi, by trzeźwo ocenić położenie, tyle uporu, by mimo wszystko wytrwać o 5 minut dłużej niż nieprzyjaciel wytrzyma? Charakter zdecyduje.

Znałem w czasie wojny porucznika, który, chcąc zaznaczyć swoją wyższość nad kolegami, z dumą podkreślał, jakie to szkoły i kursy wojskowe pokończył, na jakich to frontach przebywał i jaką dzięki temu ma wiedzę i doświadczenie wojenne.

Ale kiedy przyszedł czas próby i egzaminu, kiedy pułk ruszył do boju, okazało się naraz, że wiedza i doświadczenie nic nie pomagają, bo strach ogarnia porucznika, a on nie ma woli na tyle hartownej, by zapanować nad instynktem samozachowawczym. Nie ma na tyle męstwa, by ludzi swych do walki prowadzić, ociąga się i zostaje w ty-

le, a z nim i jego kompania, która się zaraziła słabością dowódcy. Obezwładniony lękiem staje się tchórzem i w tchórzów zmienia tych dzielnych ludzi, których mu powierzono. Załamuje się natarcie, bo załamała się dusza dowódcy. Już nie dowódcy, bo porucznik przestał nim być w oczach swoich podwładnych za brak charakteru. Na czoło wysuwa się młody podchorąży. Rozumie on, że trzeba iść naprzód, że trzeba dać przykład, poderwać się i innych za sobą pociągnąć. Naprzód! zrywa się do skoku, za nim rusza kompania, poszli i wykonali zadanie. Od tego dnia on został faktycznym dowódcą kompanii.

W jednym i drugim wypadku decydowała nie wiedza, nie doświadczenie, ale charakter tylko; zdecydował człowiek, który potrafił masę za sobą pociągnąć. Zawsze decyduje człowiek.

W pewnej dywizji był pułk, któremu się nic nie udawało. W natarciu nie osiągał nakazanych celów, w obronie nie potrafił utrzymać zajmowanego terenu, nigdy nie można było na niego liczyć. Inne pułki dywizji patrzyły nań z góry i z wyraźną niechęcią, bo nigdy nie były pewne swego skrzydła, jeśli on obok nich działał, a często musiały łatać dziury, które on pozwolił wybić nieprzyjacielowi.

Ale oto zmienia się dowódca; cała masa żołnierska zostaje ta sama; przychodzi tylko jeden nowy człowiek i w ciągu tygodnia pułk się przetwarza w najbardziej bohaterską jednostkę — staje się pierwszym w dywizji. Najcięższe zadania jemu teraz powierzają i on je bezwzględnie wykonuje, bo przyszedł jeden człowiek i to wystarczyło, by wartość pułku przemienić gruntownie. Człowiek bowiem jest wszystkim, ale człowiek charakteru i czynu. Masa może być bierna. tchórzliwa nawet, albo bohaterska i zdolna do największych wysiłków zależnie od tego kto stanie na jej czele.

Cóż z tego, że w roku 1830 — 31 mieliśmy wspaniałe, może najlepsze w Europie wojsko. Co z tego, że położenie nasze dawało nam wszelkie warunki wygrania wojny z Rosją. Przegraliśmy, bo brakło człowieka charakteru i czynu. Wodza wielkiego zabrakło.

W roku 1920 mieliśmy wojsko improwizowane, złożone z najrozmaitszych formacyj, źle uzbrojone, a rozgromiliśmy Rosję, bo mieliśmy Wodza o charakterze niezłomnym i on zdecydował. Człowiek zawsze decyduje, ale człowiek charakteru i czynu.

Ludźmi charakteru musimy przesycić wszystkie oddziały aż do najdrobniejszych. Każda drużyna, pluton, kompania musi mieć swoich przewódców o niezłomnym charakterze, którzy potrafią oprzeć się wielkiej grozie wojny i ciągnąć za sobą innych w najcięższych warunkach do wykonania powierzonych zadań.

Naród otacza wojsko wielką miłością, uważa je za organizację

najzdrowszą i najlepszą w Państwie, ufa mu bezgranicznie i nie szczędzi ofiar. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby wojsko zaufanie to zawiodło. Jaką depresję wywołałby zawód, jaką klęskę moralną sprowadził. Skutki tego byłyby fatalne. Nie wolno nam zawodu sprawić narodowi. Naszą ambicją i punktem honoru musi być: zrobić wszystko, by stać się najlepszym wojskiem w Europie.

Mamy wszystkie warunki po temu i staniemy się nim, jeśli tylko wychowamy człowieka charakteru i czynu, jeśli wyrobimy całe rzesze przewódców różnej miary. My w polu możemy się spotkać z przewagą liczebną i techniczną, to nie jest wcale straszne, ale nie wolno nam się spotkać z przewagą moralną, z przewagą woli, uporu, inicjatywy, z przewagą charakteru. W zakresie wartości moralnych my nad wszystkimi musimy górować, bo wtenczas tylko będziemy niezwyciężeni.

O rzeczy wielkie tu chodzi, bo o czynnik, który zdecyduje o losach Państwa i o przyszłości naszego Narodu. Musimy więc wzmóc nasze wysiłki nad urabianiem nowego człowieka.

Nie każdy rodzi się z tęgim charakterem, ale każdy może urobić go wytężoną pracą. Jak przez metodyczne ćwiczenie rozwijamy siły fizyczne i wzmacniamy pamięć — tak samo kształtować możemy charakter.

Kto codziennie będzie siebie trzymał w karbach, kto wytrwale łamiąc swą słabość i swe namiętności będzie siebie zwyciężał, ten wszystko przezwycięży, bo wolę swoją przekuje na stal. Ileż to razy w ciągu dnia mamy sposobność do przełamywania swej słabości: trzeba by np. przeczytać jakąś ciekawą książkę, a tu nas ciągnie do brydża, który pożre tyle cennych godzin. Trzeba by przygotować się dokładniej do jutrzejszego ćwiczenia — nie robimy jednak tego, bo śpieszymy się, by spotkać kogoś, z kim miło czas spędzimy. Coś się źle dzieje na naszych oczach, należałoby wkroczyć i zrobić porządek, ale nie chcemy sobie zadawać trudu lub narazić się na jakąś nieprzyjemność, machamy więc ręką i obojętnie przechodzimy dalej itd., itd. Są to wszystko drobiazgi, których wielkie mnóstwo niesie każdy dzień. Drobiazgi te jednak są wspaniałym terenem do wykuwania potężnej woli.

Życie codzienne nie daje wprawdzie sposobności do czynów błyskotliwych, ale nastręcza wiele okazji do cichego bohaterstwa, do pokonywania siebie samego, do łamania swych słabości, do inicjatywy i czynnego ustosunkowania się do zjawisk, obok których przechodziliśmy dotąd obojętnie. Daje ono wiele możliwości do wykuwania wszystkich wartości moralnych.

Zacznijmy się tylko obserwować, zacznijmy się łapać na leni-

stwie, na opieszałości i bierności, na byle jakim spełnianiu obowiązków, na marnotrawieniu czasu na fraszkach itd., itd. Postanówmy pilnować się, wziąć siebie samych w karby, zacznijmy życie surowe — nie ponure, przeciwnie — wesołe, pełne radości, ale surowe.

Trzeba rozwinąć kult charakteru i wytworzyć taką atmosferę, w której by on był ceniony i poszukiwany jako największa wartość. Trzeba wytworzyć modę na charakter.

Z drugiej zaś strony nie wolno nikomu nierozważnie łamać charakteru, nie wolno jego przejawów fałszywie oceniać i karać człowieka za odwagę cywilną, za męskie postawienie sprawy, za inicjatywę itd. Przeciwnie, wszystkie te cnoty trzeba uszanować, choćby nawet z jakiegoś powodu były komuś niemiłe. Własnym przykładem trzeba drugim świecić. W życiu codziennym niewątpliwie łatwiej dawać sobie radę z ludźmi ugrzecznionymi, giętkimi, odgadującymi jakby to przełożony chciał mieć daną sprawę naświetloną, niż z ludźmi o twardych karkach, nie bojącymi się prawdy, otwartymi i szczerymi. Ale tacy właśnie są nam potrzebni, bo to są ludzie z charakterem.

Dla nadania mocniejszego tętna akcji wychowawczej w każdej formacji powinien powstać zespół ludzi, który postawi sobie za cel przodować w tej pracy kształtowania człowieka charakteru i czynu i prowadzić ją wytrwale, otwarcie i śmiało mimo niechęci, czy drwin nawet innych. Trzeba pójść z hasłem odrodzenia człowieka, jakby z misją która ma stworzyć podstawę pod wielką mocarstwowość Polski.

Ale jak ma wyglądać ten nowy — odrodzony człowiek?

Ma go cechować:

— wielka wola zdolna łamać wszelkie opory i z żelazną konsekwencją prowadzić do raz wytkniętego celu;

— odwaga inicjatywy, ryzyka i brania na siebie odpowiedzialności;

— mocny instynkt walki, zdobywczość i przebojowość, które pchać będą do czynu, do ofensywy na każdym odcinku życiowym;

— męstwo i odporność na działanie strachu;

— służebny stosunek do państwa i gotowość ponoszenia dobrowolnych ofiar na rzecz narodu;

— prawość i rzetelność w każdym przejawie życia.

Poza tym nowego człowieka w Polsce musi cechować pewność siebie, wiara w siebie i naród oraz zapał, entuzjazm i fanatyzm w pracy dla swego narodu.

Musimy wyprowadzić Rzeczypospolitą z dzisiejszego trudnego

położenia na szczyty potęgi, na przodujące innym stanowisko. Musimy Państwo wyprowadzić na historyczne szlaki takiej mocarstwowości, by żadne napory ze wschodu czy z zachodu nie były mu straszne. Czynów więc powszechnych i wielkich potrzeba. Potrzeba ludzi potężnych, ludzi charakteru, bo wszystko przez ludzi się dzieje.

Szybko zbliżają się czasy, które będą wymagały duszy bardziej bohaterskiej niż ta, jaką miało pokolenie, co Polskę niepodległą zbudowało — kujmy więc wielkie charaktery i potęgujmy zdolność naszą do czynu.

PPŁK. DYPL. KAZIMIERZ RYZIŃSKI

ISTOTA I CELE WYCHOWANIA ŻOŁNIERSKIEGO

Sprawa wychowania wysuwa się dziś na plan pierwszy i staje się zagadnieniem podstawowym, gdyż jego wyniki będą decydowały o losie narodu. Wielkie przemiany, jakie się dokonują w świecie na naszych oczach i tragedie, które przeżywają narody, rozgrywają się na płaszczyźnie wyłącznie moralnej. Dają one niezbite świadectwo tej prawdzie, że przede wszystkim postawa moralna narodu stanowi o jego sile lub słabości, że ona w pierwszym rzędzie warunkuje zwycięstwo lub klęskę.

O tę więc postawę moralną narodu, o jego moc wewnętrzną chodzi. Zrozumienie ważności tych spraw zaczyna się upowszechniać w Polsce. Już możemy zaobserwować pewien ruch, który zmierza do przetworzenia psychiki polskiej i nastrojenia jej na ton bardziej mocny, zdobywczy, zwycięski. W ruchu tym siła zbrojna powinna odegrać przodującą rolę, jako największa szkoła narodu i organizacja, o wartości której decyduje człowiek w większym stopniu, niż gdziekolwiek indziej. Wychowanie więc musimy postawić na najwyższym poziomie i prowadzić je z całą umiejętnością, by nie tracić czasu, bo go nie mamy zbyt wiele. W związku z tym konieczne jest ujednostajnienie poglądów na sprawy wychowania, usunięcie wszelkich wątpliwości, jakie by się mogły nasunąć, i ustalenie najwłaściwszych dróg wiodących najprościej do jasno postawionych celów.

Biuletyn „Wychowanie" powinien się stać trybuną, która nam walnie pomoże w rozwiązaniu tych wszystkich zagadnień. Rozpoczynając na jej łamach rozważania nad tematami wychowawczymi, chcę poruszyć sprawę istoty i celów wychowania żołnierza. Nie będzie to studium kompletne, rozwiązujące całokształt tego wielkiego problemu, ale jedynie zwrócenie uwagi na pewne momenty — zdaniem moim — szczególnie ważne w dzisiejszej naszej rzeczywistości wychowawczej.

Dla wojska praca wychowawcza nie jest niczym nowym. Należy ona do jego podstawowych obowiązków i jest prowadzona z dodatnim na ogół wynikiem. Niemniej jednak wiele tu jeszcze potrzeba wysiłków, by ją podnieść na pożądane wyżyny.

W szczególności potrzeba:

1) Przekonać wszystkich wychowawców (a są nimi dowódcy najróżnorodniejszych stopni), że sprawa wychowania, jeśli nie jest ważniejsza, to przynajmniej tak ważna, jak szkolenie i trzeba jej poświęcić przynajmniej tyle zabiegów i troski, co technicznemu przygotowaniu żołnierza.
2) Określić dokładnie, co to jest wychowanie i na czym polega jego istota.
3) Ustalić jednolite cele wychowania.
4) Wiedzieć, jak postępować, by cele te osiągnąć, czyli znać najwłaściwszą metodę pracy.

Ustalenie tych potrzeb i obudzenie zrozumienia dla nich jest konieczne, gdyż spotykamy niekiedy dowódców, którzy zbyt mało interesują się wychowaniem. Spotykamy i takich, którzy teoretycznie doskonale rozumieją jego znaczenie, ale—pochłonięci szkoleniem i kłopotami gospodarczymi—nie znajdują już na nie czasu. Są również i tacy, którzy uważają, że sam tryb życia wojskowego dostatecznie wychowuje i że to już wystarczy. Oczywiście tryb życia wojskowego spełnia dużą rolę wychowawczą, wyrabia bowiem przyzwyczajenia, wdraża do pewnych norm, wytwarza niektóre cechy, ale nie jest w stanie wykonać całej pracy wychowawczej. Zdarzają się w końcu i tacy, którzy w całej pełni doceniają znaczenie wychowania i poświęcają mu wiele czasu, tylko że to, co robią, nie jest wychowaniem, a zwykłą oświatą. Uczą oni np. żołnierza — ile jest województw w Polsce, jakie kompetencje ma starosta, a jakie wójt, gdzie kopią węgiel, a gdzie naftę itd. i sądzą, że prowadzą wychowanie obywatelskie. Uczą historii pułku, wbijają mu w głowę daty różnych wydarzeń, paragrafy regulaminu służby wewnętrznej itd. i zdaje się im, że jest to wychowanie żołnierskie.

Tymczasem sama znajomość urządzeń i zasobów państwowych nie ma prawie nic wspólnego z rzeczywistym wychowaniem obywatelskim, podobnie jak znajomość organizacji wojska, postanowień regulaminów itd. nie stanowi o wychowaniu żołnierskim. Znaczy tu nie wiedza tylko wola takiego ustosunkowania się do wszystkich spraw życiowych, jakiego wymaga interes narodu. Chodzi więc nie o zakres wiadomości formalnych, ale o urobienie takich cech charakteru, które gwarantują wypełnienie wszystkich obowiązków i ponoszenie

odpowiedzialności we współżyciu państwowym i życiu wojskowym. Człowiek bowiem, który doskonale będzie znał ustrój Polski, jej obszar, jej bogactwa itd. — może być zupełnie złym obywatelem, jak również złym żołnierzem ten, kto potrafi wyliczyć wszystkie bitwy, jakie pułk stoczył, lub wszystkie wypadki, w których wolno użyć broni podczas służby wartowniczej, itd.

Wychowanie więc — to nie oświata, to nie meblowanie głowy człowieka. Głównym jego zadaniem jest kultura woli — nie zaś umysłu. *Wychowanie to kształtowanie duszy człowieka, jego struktury i mocy wewnętrznej, to podnoszenie osobowości ludzkiej, wykuwanie charakteru, wdrażanie w nawyki i przyzwyczajenia. Następnie to urabianie stosunku człowieka do życia, ludzi, państwa i do zagadnień, to takie formowanie człowieka, by miał wolę postępować w życiu zawsze zgodnie z interesem społeczeństwa, narodu i państwa.*

Oświata może, a nawet powinna być poważnym czynnikiem wychowawczym, lecz będzie nim dopiero wówczas, gdy będziemy stale pamiętali, że celem jej nie jest wzbogacenie wiedzy formalnej, ale budzenie zapału i entuzjazmu, szacunku dla własnego narodu, a nienawiści do wrogów itd., jednym słowem, gdy będziemy ją prowadzili z tą myślą i w ten sposób, by oddziaływała na duszę człowieka i potęgowała jego wartości moralne.

Tak pojęta istota wychowania ustrzeże nas od błądzenia i wprowadzi naszą pracę na właściwy tor, na którym utrzymamy się dopiero wówczas, gdy jasno określimy cele, jakie przez wychowanie winniśmy osiągnąć.

Jakież to są cele, czyli jakiego żołnierza musimy wychować?

Ustalając cele wychowawcze wojska trzeba uwzględnić:

— linie, po których szło wychowanie w Polsce, a więc nasz światopogląd i nastawienie psychiczne;

— zadania, do których mamy przygotować żołnierza.

1. *Nasz światopogląd.*

Musimy przetworzyć psychikę narodu i przestawić ją na inny tor. Musimy to zrobić szybko, gdyż znaleźliśmy się na torze fałszywym, który prowadzi do słabości. Dzięki różnym okolicznościom przyjęliśmy światopogląd z zachodu, wytworzony przez aktyw mieszczańsko-kupiecki narodów sytych, które — nagromadziwszy wielkie bogactwa materialne — chciały je spokojnie zużywać i dalej pomnażać. Powstały więc tam idee pacyfistyczno-liberalne, według których w świecie panuje harmonia, piękno i dobro. Walka według nich jest przejawem zdziczenia i barbarzyństwa, gdyż przynosi cierpienia

człowiekowi. Wysiłek więc ludzkości powinien pójść w kierunku moralnego rozbrojenia narodów, szerzenia zasad humanitarnych i liberalnych.

Taki światopogląd stał się podstawą wychowawczą naszego szkolnictwa, przeniknął administrację, naukę, literaturę. I zaczęła się w ten sposób praca nad moralnym rozbrojeniem narodu i państwa. Skrajny liberalizm kazał nam zakładać szkoły niepolskie nawet tam, gdzie ludność prosiła o polskie, kazał nazywać Ukraińcami czy Białorusinami tych, którzy wcale tego nie pragnęli, zakazał czytać w szkołach „Trylogię", dozwalając natomiast na lekturę atakującą nasz naród. W literaturze pięknej pojawiły się utwory zohydzające wojsko i wojnę, terminy takie, jak „wódz" i „chorągiew" określano jako „wyrazy ścierki" z „żargonu bandy złodziejskiej", szerzono „trwogę przed śmiercią" i przed walką. Zaczęto obdzierać bohaterów narodowych z otaczającej ich legendy. Stały się modne słabość, rozwiązłość, mizeria. Zatracił się pierwiastek zdrowy, męski, bohaterski, a w ślad za tym zaczął się sączyć defetyzm, zastrachanie i niewiara w siebie.

Nauka nasza, hołdując wybujałemu liberalizmowi i humanitaryzmowi, patrzyła na wojnę z odrazą. Nie była ona dla niej, jak zresztą i dla pewnej części literatury, największym przejawem życia, najtrudniejszym egzaminem narodów, a przeżycia wojenne nie są najgłębszym wstrząsem psychicznym, jakiego doznaje ludzkość. Wojna nie była dla niej zmaganiem się, w którym decydują czynniki moralne. Nie interesuje jej, że od wytrzymałości psychicznej zależą losy bitew, a więc państw i narodów. Wojnę oceniano jako ordynarną bijatykę, w której kaleczą i zabijają ludzi. Dlatego jeśli uczony polski pisał wielkie dzieło psychologiczne — o wojnie nie wspominał ni słowem. Brzydzi się jej po prostu.

W konsekwencji tego wszystkiego zapanowały hasła pacyfistyczne, a z nich wyrosło nasze nastawienie obronne, które tak głęboko weszło w psychikę narodu, że terminy takie, jak „ofensywa", „ekspansja" prawie znikły z języka potocznego. Wszechwładnie zapanowała obrona. W prasie, w publikacjach, w sejmie, w rozmowach codziennych nie mówi się o zagadnieniu wojny, ale wyłącznie o sprawach „obrony państwa".

Ta fala obrony wtargnęła również i do polskiej siły zbrojnej i na jej obliczu wyżłobiła swe obronne piętno. Dusza jej nie została tknięta. Płonie w niej niezmiennie żywy płomień ducha rycerskiego, przenika zdrowy instynkt walki, prężą się w niej tendencje mocne, dynamiczne. Głowy tylko zostały zbałamucone prądem pacyfizmu i przesypane warstwą pyłu obronnego, który trzeba zdmuchnąć.

Żołnierz zapytany, po co ma karabin, z przekonaniem i nieodmiennie odpowie: ażeby się bronić. Nie tylko szeregowiec, ale i dowódca przywykł do tej obrony. Oto jeden z przykładów. W styczniu ukazał się w „Polsce Zbrojnej" artykuł pewnego podporucznika, w którym autor wzywa swych kolegów do studiowania historii wojen i uczenia się sztuki wojennej na przykładach stoczonych bojów, gdyż jak powiada „Mrzonką jest pacyfizm i rozbrojenie", „Musimy wychowywać przyszłe pokolenie i samych siebie w duchu militarnym".

Ale w tym miejscu przestraszył się ten niewątpliwie dzielny, pełen dynamizmu oficer, że mogą go posądzić o imperializm i zdobywczość, więc natychmiast dodaje: „Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, żeby to był militaryzm obronny". Mimo więc temperamentu i nurtującego w nim ducha ekspansji kończy na obronie.

Te rozkładowe prądy na szczęście nie dotarły do rdzenia siły narodu, to jest do szerokich mas ludowych, a co więcej — działanie ich w ogóle osłabło, bo zaczęto się im przeciwstawiać i rozpęd ich hamować. Nie mniej jednak nie pozbyliśmy się ich dotąd w całości, a pozbyć się musimy jak najprędzej tym bardziej, że mogą one pogłębić nasze najgłówniejsze wady, a więc:

— bierność i wrodzoną naszą miękkość,
— nasze poczucie niższości w stosunku do innych.

I nie tylko to, ten światopogląd prowadzi do klęski, bo jest oparty na fałszu. Nie jest bowiem prawdą, że życie to sielanka, a walka to przejaw zwyrodnienia, barbarzyństwa i zaprzeczenia kultury. Prawdą natomiast jest zgoła co innego — to mianowicie, że życie jest walką, walką w najszerszym kosmicznym znaczeniu. Prawda ta wytryska z odwiecznych praw natury, które nieodmiennie rządzą światem żyjącym. Już w VI w. przed Chr. Heraklit z Efezu, jeden z najgłębszych myślicieli starożytności, stwierdza, że: „Wojna jest ojcem wszechrzeczy i wszechrzeczy królem. Jednych robi bogatymi, innych niewolnikami, a innych wolnymi". A dalej mówi: „Należy wiedzieć, że walka jest wspólna wszystkiemu, a sprawiedliwość jest walką i wszystko powstaje i przemija dzięki walce".

I rzeczywiście tak jest. Istotą i przeznaczeniem człowieka jest działanie. Działanie zaś wymaga zwykle walki. Człowiek też został stworzony do walki i naczelnym jego zadaniem jest walka już nie tylko o istnienie, ale o przewagę, o doskonałość, o najpełniejszą realizację swego typu narodowego i kulturalno-cywilizacyjnego. Natura wymaga, by był on zdobywcą i dążył do potęgowania swej mocy zdobywczej, do rozprzestrzeniania się, opanowywania i maksymalnego powiększania się jakościowego i ilościowego. Człowiek więc, który nie

dąży do przewagi i nie jest zdolny do walki, staje się istotą zwyrodniałą, skazaną na zagładę.

Tu jest więc naturalna podstawa, z której musi wyrość nasz światopogląd i jeden z zasadniczych celów wychowawczych narodu, a więc i polskiej siły zbrojnej.

Podstawowym tedy celem wychowania żołnierza, to przysposobienie go do działania i do walki w najszerszym znaczeniu, a więc wpojenie mu prawdy, że wszystko powstaje, żyje potężnieje i ginie przez walkę, to rozwinięcie w nim ducha ekspansji i woli zwycięstwa, to uzbrojenie go moralne do odnoszenia zwycięstw codziennie, na każdym kroku i w każdym przejawie życia.

2. *Zadania do których mamy przygotować żołnierza.*

Zadaniem siły zbrojnej jest przygotowanie wojny, prowadzenie jej, gdy tego zajdzie potrzeba i osiągnięcie zwycięstwa. Żołnierza więc powołuje się do szeregów po to, by go przygotować do wojny. Szkolenie ma go nauczyć sposobów walki i umiejętności posługiwania się bronią oraz wszelkiego rodzaju sprzętem; wychowanie zaś ma tak urobić jego duszę i takie rozwinąć w nim wartości moralne,

a) by chciał się bić za Polskę we wszystkich, najtrudniejszych nawet warunkach,
b) by bił się dobrze z wiarą w zwycięstwo, opartą na zaufaniu we własne siły.

Takie są cele wychowania żołnierza. Pozornie są one bardzo skromne, ale w rzeczywistości zakres ten jest ogromny i osiągnięcie ich wymaga wytężonej pracy i wysiłku wszystkich wychowawców.

By żołnierz bowiem chciał się bić, tzn., by całą jego istotę przenikało najgłębsze zrozumienie, że bić się warto, że trzeba, że jest to nieodpartą koniecznością, — musi on mocno wierzyć w świętość i słuszność sprawy, za którą walczy.

Uderzając, idąc do walki zaczepnej, musi iść z wiarą, że walczy w imię wielkich ideałów narodu i ludzkości, że idzie naprzód, by wypełnić wielką misję dziejową, że niszczy nagromadzoną niesprawiedliwość, sobie lepszą dolę buduje, naród do wielkości prowadzi, a drugim wolność niesie.

Musi wierzyć, że — broniąc państwa — broni go przed niesłychaną zbrodnią, że napaść gwałci wszelkie zasady sprawiedliwości, uderza w najżywotniejszy interes każdego obywatela i całego narodu, rani nasz honor, poniewiera dumę i godność narodową i jest taką potwornością, że trzeba wszystkim stanąć i mścić się, nie dając żadnego pardonu.

Konieczność walki o interes i wielkość narodu musi się stać dla najszerszych mas nakazem tak naturalnym i tak bezwzględnym, by działała nawet podświadomie, jak działa instynkt samozachowawczy.

Dla osiągnięcia tego celu trzeba rozwinąć w żołnierzu cnoty obywatelskie, związać go z wielką naszą przeszłością i z obecnym państwem, nastawić na potężną przyszłość i podnieść w nim godność i poczucie dumy narodowej. Wtedy wyrośnie w nim naturalny przymus walki, którego nic powstrzymać nie zdoła.

Chęć ta jednak jest czynnikiem nie wystarczającym. Żołnierz musi podjąć walkę i bić się w niej dobrze. A wiemy z obcych i własnych przykładów, że nieraz nawet ochotnicy, a więc ludzie, co z własnego popędu dobrowolnie stanęli w szeregach, którzy rwali się w pole po to przecież, ażeby tam walczyć, nie bili się dobrze, co więcej, zdarzało się, że w ogóle nie chcieli przyjąć walki, a nawet szli w rozsypkę, aby jej uniknąć. Groza śmierci wzniecała u nich taki ogrom strachu, że niweczyła w całości wolę i ochotę walki, a oni nie mieli siły, by strach opanować. Nie mieli dostatecznego poczucia honoru i odpowiedzialności, ani wstydu męskiego przed słabością, ani karności, ni zaufania do siebie, by spełnić ciężki obowiązek. Zawiedli, bo brakło im cnót żołnierskich, czyli tego czynnika, który decyduje, czy żołnierz podejmie walkę i jak się bić będzie.

Jedną z podstawowych cnót żołnierskich, to odporność na działanie strachu, i całkowite duchowe przygotowanie do ofiary krwi na rzecz narodu. To głębokie uczucie religijnej powagi i determinacji, wynikające z tej mistycznej łączności z Ojczyzną, która się wyraża świadomością, iż człowiek umiera, by żyła Ojczyzna.

Ta jednak odporność na strach nie wyczerpuje wszystkiego. Chodzi o to, by żołnierz bił się dobrze, tzn. by bił się nie tylko w momentach podniosłego nastroju i pod okiem dowódcy, ale również i wówczas, gdy znużenie, głód i groza bitewna, niepewność położenia i niepowodzenia rozkładać będą jego odporność, a osamotnienie w bitwie będzie mu dawać okazję do opieszałości lub niezauważonego wycofania się z walki. O to chodzi, by w ciężkich chwilach śmiertelnego znużenia fizycznego i wyczerpania moralnego miał w duszy ten upór i zaciętość, tę ambicję i poczucie obowiązku, dzięki którym będzie trwał i wytrwa. I o to jeszcze chodzi, by był twardy, nieustępliwy, pełen inicjatywy i brawury, by przenikała go wiara, że my musimy zwyciężyć, a zwyciężymy na pewno, gdy każdy będzie miał mocną wolę wszelką czynność bojową jak najuczciwiej i jak najlepiej wykonać.

Potrzebne są na to cnoty żołnierskie takie, jak honor, męstwo,

wola, dokładność i sumienność, poczucie odpowiedzialności, wytrwałość i przebojowość, zaufanie do siebie i do swoich itd.

Takie wychowanie żołnierza, by chciał się bić i bił się dobrze, wymaga rozwinięcia w nim wielkiego mnóstwa cnót obywatelskich i żołnierskich oraz urobienia całej jego osobowości moralnej.

Jeślibyśmy wzięli pod pryzmat naszej rzeczywistości ochotę do walki i postulat dobrego się w niej bicia, to moglibyśmy stwierdzić, że łatwiej u naszego żołnierza o tę ochotę niż o bezwzględną rzetelność, twardość, nieustępliwość, wytrwałość, odpowiedzialność itp., czyli o cechy, które znamionują dobrego żołnierza i dają gwarancję, że będzie się bił dobrze.

Trzeba to stwierdzić dlatego, że idąc po linii najłatwiejszej, często skupiamy największy wysiłek na budzenie ducha patriotycznego, czyli ochoty do walki. Tymczasem może pilniejsza jest sprawa rozwijania przymiotów dobrego żołnierza i na nie właśnie należy położyć główny nacisk. Mniej ważne jest podchodzenie do żołnierza z wielkimi słowami i wielkimi problemami, niż pilne śledzenie biegu codziennego życia i bezwzględne tępienie wszelkich przywar i niedomagań jego charakteru, a rozwijanie w ich miejsce odpowiednich przymiotów, do czego daje okazję każda czynność w trakcie normalnego życia dnia powszedniego.

Takie oto są w ogólnym zarysie cele wychowania żołnierza. Niełatwe są one do osiągnięcia, a osiągnięte być muszą koniecznie. Trzeba im więc poświęcić wiele uwagi, trudu, energii i czasu.

Zachodzi teraz pytanie — co i jak trzeba robić, by cele te osiągnąć, jakich użyć metod, jak postępować, by rozwinąć te cnoty obywatelskie i żołnierskie i wychować żołnierza niezwyciężonego?

Na te wszystkie pytania musi dać odpowiedź „Wychowanie". Musi ono skrystalizować najwłaściwsze i najskuteczniejsze sposoby do celu wiodące. Praca to trudna, ale wykona się ją, jeśli cała kadra zawodowa weźmie w niej udział.

MJR B. S. KENCBOK

KOMPANIA JAKO PODSTAWOWA GRUPA WYCHOWAWCZA W WOJSKU

Grupą wychowawczą nazywam każdy zespół ludzi skupionych na pewien okres czasu i w określonym celu, jeśli przy tym jednostki są zespolone warunkami współżycia i współpracy. Jest więc grupą wychowawczą klasa uczniów w szkole, chorągiew harcerska, ze-

spół robotników, załoga statku, kompania junaków itp., a w wojsku: drużyna, pluton, kompania, szwadron, bateria, batalion, dywizjon itd.

Niektóre z tych grup, np. chorągiew harcerska, są organizowane wyłącznie z punktu widzenia wychowania, toteż dla nich termin „grupa wychowawcza" narzuca się sam przez się. Są jednak zespoły powołane do życia dla zadań nie mających w założeniu celów wychowawczych, a mimo to trzeba je zaliczyć do wychowawczych. Na przykład załoga statku. Współżycie i współpraca na statku wychowuje, choć wychowanie nie jest tu celem samym w sobie. I w wojsku tworzenie zespołów nie jest wyrazem potrzeb wychowawczych, bo dyktuje je nie wychowanie, lecz organizacja i taktyka, jednak zespoły wojskowe muszą być traktowane jako grupy wychowawcze. Przemawia za tym wiele czynników, a przede wszystkim zadanie wychowania przypadające z tytułu potrzeb wojska i wojny.

Wychowanie w wojsku ma podnosić wartość jednostki a zarazem wyrobić umiejętność współżycia i współpracy jednostek w grupie. Stąd też praca wychowawcza w wojsku — to zadanie wychowania jednostki i grupy.

Oba te zadania wiążą się ze sobą, gdyż wpływając na efektywną zmianę jednostki przyczyniamy się do podniesienia wartości grupy, a przez urabianie umiejętności współżycia i współdziałania w grupie podnosimy wartość jednostek.

Poza tym potrzeby wojska i wojny są tego rodzaju, że na wychowanie grupy w wojsku trzeba położyć silniejszy nacisk.

Pojęcie podstawowej grupy wychowawczej w wojsku nie jest bynajmniej tylko czczym sformułowaniem. Jak się przekonamy z dalszej części artykułu, ma ono duże znaczenie praktyczne, pozwala bowiem na wysunięcie takich wskazań dla dowódcy-wychowawcy, które przy braniu pod uwagę jednostki w ogóle nie mogłyby być podjęte. Dopiero rozważania na tle większego zespołu ludzkiego (grupy wychowawczej) umożliwiają powzięcie decyzji co do obrania taktyki wychowawczej w stosunku do całej grupy, a nawet w stosunku do jednostek grupę stanowiących. To taktyczne rozwiązanie problemu wychowania w grupie jest właśnie celem niniejszego artykułu.

* *
*

Już na najniższych szczeblach działania zespołów wojskowych, jak: czujka, patrol, obsługa broni maszynowej, sąsiedzi w natarciu lub obronie itp., współżycie i współpraca (współdziałanie) muszą być jak najwydatniejsze.

Współżycia tego i współdziałania nie może regulować tylko rozkaz i karność wyrobiona przez tryb życia wojskowego, bo czynniki te

pobudzają do działania raczej mechanicznego. Muszą tu działać ponadto czynniki inne — chwytające za serce i władające uczuciami jednostek, a więc najmocniejsze elementy wychowania.

Dobrze wychowany zespół oprze współżycie na zasadach szczerej i prawdziwej „sitwy", a współdziałanie w nim będzie nie tylko gotowością do wykonania każdego zadania, ale również gotowością do wzajemnego poświęcenia się za siebie jednostek grupę tę stanowiących.

Jak najlepsze współżycie i współdziałanie prowadzi również do nad wyraz wartościowej cechy działania zespołowego, jaką jest ambicja zespołu.

Dobre współżycie i współdziałanie oraz ambicja zespołowa uzyskane w mniejszych grupach prowadzą do powstania dobrego współżycia i współdziałania na wyższych szczeblach zespolenia, a więc i do rozbudzenia ambicji batalionu, dywizjonu, pułku, dywizji, armii — wreszcie do ambicji i dumy z przynależenia do wojska całego, gdy wojsko to dobrze współżyjące i współdziałające potrafi osiągać przewagę nad wojskiem wroga.

Podstawowym zespołem wychowawczym w wojsku jest kompania, szwadron, bateria itd., bo na tym szczeblu zespolenia jednostek skupiają się wszystkie czynniki nieodzowne dla rozwinięcia głęboko pojętej pracy wychowawczej. Tu na podstawie wytycznych, instrukcyj i regulaminów konkretyzuje się natężenie trybu wychowawczego, tu prowadzi się go praktycznie; tu reguluje się do najdrobniejszych szczegółów zasady współżycia i współdziałania. Na tym szczeblu wchodzi w grę raport (prośba, kara, zażalenie), wydaje się umundurowanie i żywność, wypłaca się żołd itd.

Dowódca kompanii (i równorzędnych) jako wychowawca jest więc tym, który najpełniej i bezpośrednio prowadzi wychowanie; który w czasie pokoju i wojny ma nieograniczone możliwości napinania woli zbiorowej w podległym mu zespole ludzkim, który żąda posłuchu i wysiłku, który nagradza i karze, który wreszcie swym postępowaniem dowódczym częstokroć decyduje o życiu lub śmierci swych podwładnych.

Mówi się o nim: „ojciec kompanii". Powinien nim być rzeczywiście.

Wiemy w jakich warunkach organizuje się podstawowa grupa wychowawcza w wojsku (kompania i równorzędne). Przybycie rekrutów, rezerwistów lub reorganizacja pułku są tymi momentami, gdy przed dowódcą staje grupa ludzi jako wielka niewiadoma. Rozwiązanie tej niewiadomej — to poznanie szeregowców.

Potrzeba i celowość dokładnego poznania jednostek zespolo-

nych w grupie są tak oczywiste, że nie wymagają uzasadnienia. Zresztą szczegółowe omówienie poznawania wykroczyłoby poza ramy artykułu i wymaga oddzielnego opracowania. Przyjmę więc za bezsporny fakt, że poznanie jednostek w grupie (szeregowców w kompanii i równorzędnych) — to podstawa pracy wychowawczej, materiały poznania — to regulator postępowania wychowawczego.

Poznanie jednostek w grupie wymaga systematycznej i długotrwałej obserwacji prowadzonej w różnych okolicznościach współżycia i współdziałania, gdyż wtedy dopiero uzyska się możliwie pełny i wartościowy materiał poznawczy.

Jest to trudne do osiągnięcia, bo warunki pracy i życia pokojowego oraz krótki stosunkowo okres podporządkowania ludzi jednemu i temu samemu dowódcy prawie nigdy nie pozwalają mu zjeść owej przysłowiowej beczki soli z podwładnymi, by poznać ich wszechstronnie i dokładnie.

Na wojnie okoliczności największego wysiłku i groza bitewna są dla szybkiego i nieomylnego poznawania o wiele korzystniejsze.

Biorąc pod uwagę warunki pracy pokojowej, trzeba spotęgować umiejętność poznawania znajomością psychologii, a samo poznawanie usprawnić i usystematyzować.

Dużą pomocą w pracy wychowawczej i dowódczej może być schematyczna klasyfikacja, swoista dla zespołów ludzkich, którą wysnuć można na podstawie znajomości psychologii grupy.

Według niej każdy większy zespół ludzki, a więc również kompania i równorzędne da się podzielić na trzy zasadnicze części:

1) + — 90% jednostek nie wyróżniających się jakimiś wybitnymi cechami (ani dodatnimi ani ujemnymi),
2) + — 5% jednostek wybitnie dodatnich,
3) + — 5% jednostek wybitnie ujemnych.

Podział ten wydaje się z pozoru zbyt prymitywny, ale on właśnie decyduje o tym, jak dowódca-wychowawca powinien z punktu widzenia wychowania regulować współżycie i współdziałanie w swej grupie, a więc dla taktycznego rozwiązania problemu wychowania w grupie jest to podział niezastąpiony. Bardziej drobiazgowe rozgraniczenia, powstałe z wnikliwszej oceny jednostek w grupie, będą — rzecz oczywista—potrzebne, ale zaważyć mogą tylko na stosunku dowódcy do jednostek, a nie na stosunku do grupy.

Podany tu podział może się procentowo wahać, rzadko jednak będzie się wiele różnił od przyjętego, chyba gdyby chodziło o grupę wyjątkową, np. o oddziały karne.

Co przedstawiają wydzielone z grupy odsetki?

Owe 90% — to masa podatna na wpływy i uległa. Znamionu-

ją ją cechy charakterystyczne dla tłumu. Na bezbarwność i przeciętność tej masy składają się różne czynniki, np. brak wyższej inteligencji, ale decydującym jest charakter — mianowicie jego cechy zbyt słabo lub miękko zarysowane, a więc właściwie brak silnego charakteru. Osobnicy tu zaliczeni ulegają łatwo sugestiom i wpływom, dadzą się prowadzić i urabiać dowolnie, dadzą sobą kierować bez sprzeciwu. Będą szli tam, gdzie zostaną pchnięci; potrafią się nawet zapalić, gdy zostaną przez innych porwani. Poddadzą się każdej silniejszej woli i decyzji.

Pozostałe 5% typów dodatnich i 5% typów ujemnych — to jednostki o wybitniejszych lub wręcz wybitnych cechach charakteru, ze skłonnościami dodatnimi lub ujemnymi.

Z przyjętego tutaj podziału, według którego szeregowcy w kompanii (baterii, szwadronie itd.) powinni być w miarę poznawania segregowani, wynikają bardzo cenne wskazania, które nie tylko zadecydują o stosunku dowódcy do jednostek, ale będą decydowały również o powzięciu ogólnego planu postępowania wychowawczego, bo plan taki dyktują.

Już sam podział grupy wychowawczej nasuwa myśl, że sztuka wychowania w grupie polega na tym, aby 90% masy podatnej na wpływy podporządkować dowódczym wpływom wychowawczym i wpływowi 5% jednostek wybitnie dodatnich, natomiast odseparować całą grupę od wpływu 5% jednostek wybitnie ujemnych.

Przyjmując taką zasadę dowódca powinien się zająć głównie owymi 90% masy w swej grupie, gdyż ona stanowi właściwy problem wychowawczy — ona jest do zdobycia lub stracenia. Reszta — 5% osobników o cechach wybitnie dodatnich potrzebuje jedynie lepszego umocnienia w swych wartościach, a 5% osobników o cechach wybitnie ujemnych rzadko da się w ciągu krótkotrwałej służby wojskowej wychować i odmienić, szczególnie gdy są to jednostki zdeklarowanie ujemne. Nie zwalnia to oczywiście dowódcy od obowiązku pracy nad tymi jednostkami.

Gdybyśmy w grupie wychowawczej nie przyjęli ustalonego tu układu wychowawczego, to groziłoby nam pewne niebezpieczeństwo ze strony jednostek ujemnych. Jednostki te — to przeważnie indywidualności, to czasem zdecydowani na wszystko prowodyrzy, którzy nierzadko mogą imponować biernej masie. Ich negatywna postawa wobec aktów współżycia i współdziałania w grupie może posiadać niekiedy dużą siłę sugestii, a w sprzyjających warunkach może się stać przyczyną bardzo szkodliwej destrukcji; może hamować a nawet niweczyć dodatni wpływ wychowawczy dowódcy, wpływ wychowawczy trybu wojskowego, a także wpływ wychowawczy

jednostek dodatnich. Nie zawsze się to ujawni. Trzeba pamiętać, że kompania (szwadron, bateria itd.) w obecności dowódcy i wszystkich bezpośrednich przełożonych oraz ta sama kompania pod ich nieobecność — to czasem dwa przeczące sobie oblicza woli zbiorowej (ujawnione i utajone).

Niweczenie prowodyrskiego znaczenia typów ujemnych w grupie osiągnąć można wieloma środkami: lekceważący stosunek dowódcy do tych jednostek, ujawnienie i wytknięcie wobec całej grupy ich złego postępowania, uniemożliwienie imponowania i przewodzenia, ośmieszenie itd. Jednostki ujemne nie posiadające cech prowodyrskich, a więc nie imponujące reszcie, nie wymagają tak wielkiego zachodu.

Wręcz odwrotnie musi się dowódca-wychowawca ustosunkować do prowodyrów o cechach wybitnie dodatnich. Takie jednostki wnoszą do grupy niezastąpione wprost wartości, jak np.: dobry nastrój, przezwyciężenie załamania psychicznego, dodatnie wzmożenie woli zbiorowej, przykłady odwagi i poświęcenia, radosny posłuch, dobry przykład itd. Prowodyrskie znaczenie takich ludzi należy więc nie tylko utrzymać, ale nawet umacniać je i podnosić.

Poza kluczowym zagadnieniem wychowania masy w grupie i poza problemem odpowiedniego postępowania z typami wybitnie ujemnymi i dodatnimi, przed dowódcą-wychowawcą stoi jeszcze jeden problem — mianowicie sprawa odpowiedniego traktowania i podnoszenia na duchu jednostek dodatnich, uchodzących w grupie — często zupełnie niesłusznie — za tzw. „ofermy".

Jednostki tego typu, jeśli tylko mają jakieś dodatnie cechy charakteru, nie mogą być pogrążane. Są to najczęściej ludzie nie obdarzeni przez naturę łokciami do rozpychania się, toteż w walce o byt, a ta rozgrywa się przecież w każdej grupie, ulegają agresywnej postawie jednostek lub ogółu grupy. Nie znaczy to jednak wcale, że „ofermy" — to żołnierze bezwartościowi. „Ofermy" o cechach dodatnich trzeba podnosić w oczach całej grupy. Najlepiej drogą pochwały, dając niedorajdzie pole do popisu w tej dziedzinie w której ma „dryg", bo u najgorszego nawet niedorajdy można się doszukać wartości, które trzeba wykorzystać dla pochwały i podniesienia na duchu. Przyczepienie miana „ofermy" do żołnierza może być fatalną omyłką.

Rodzi się tu sprawa, o której trudno nie wspomnieć — mianowicie kwestia omylności w poznawaniu jednostek w grupie i klasyfikowaniu ich.

Poznawanie ludzi i klasyfikowanie ich nie jest rzeczą łatwą. Bardzo pomocną w tej pracy jest znajomość psychologii, a także do-

świadczenie dowódcze, które daje czasem tak dużą zdolność poznawania, że pozwala dojść do prawie pewnej oceny człowieka już po kilku zamienionych z nim zdaniach, ale jest to biegłość wyjątkowa. Nie trzeba się jednak zrażać, że się takiej biegłości nie posiada, gdyż, przy dobrych chęciach i przy zadaniu sobie trudu dokładnego poznania, ocena i klasyfikacja jednostek w grupie może być przeprowadzona bez krzywdzących omyłek.

W poznawaniu ludzi swego oddziału i klasyfikowaniu ich, jak zresztą przy każdej pracy w wojsku, trzeba mieć na uwadze jeden niewzruszalny postulat, mianowicie to, że *jedyną racją istnienia wojska jest przygotowanie wojny i prowadzenie jej.*

Takie stanowisko uchroni dowódcę od błędów w pracy poznawania i klasyfikowania ludzi. Nie da się wówczas zwieść tym osobnikom, którzy zachowując wszelkie pozory lojalności, stukając dziarsko obcasami i świetnie się prezentując są czasem w gruncie rzeczy mało wartościowi. Nic innego, tylko życie garnizonowe w czasie pokoju i jego wymogi są przyczyną, że tacy spryciarze — sztramacy potrafią urobić sobie markę dobrych i najlepszych żołnierzy i że dowódcy skłonni są zaliczać ich do owych 5% typów wybitnie dodatnich, co oczywiście jest wielkim błędem.

Wszelkie objawy karności zewnętrznej są bardzo pożądane i nieodzowne, szczególnie w życiu garnizonowym, ale pobierając decyzję przy klasyfikowaniu podwładnych, trzeba opierać ją na głębszych, a nie na zewnętrznych tylko objawach subordynacji i lojalności.

Nie można pozwalać nigdy na to, aby w oddziale pomiatano kimkolwiek — nawet „ofermami". Niedorajda — pośmiewisko całego oddziału — może się okazać w walce o wiele więcej wartościowy niż niejeden stukający gracko obcasami sztramak.

Doświadczenie wojenne wiele o tym mówi.

Np. oficer niemiecki ppor. rez. Jünger Ernst w swoim pamiętniku wojennym[1]), ukazującym zmagania wojenne armii niemieckiej w czasie wojny światowej na zachodnim froncie, tak pisze przy okazji krwawego i ciężkiego szturmu na angielskie pozycje:

„...Wezwałem ochotników do złamania oporu natarciem przez otwarte pole. Ludzie spoglądali na siebie, ociągając się, a tylko jeden nieporadny Polak, którego zawsze miałem za matołka, wydrapał się z okopu i ociężale poczłapał na blokhaus. Wtedy wyskoczył na

---

[1]) „Książę piechoty", Warszawa, 1933, W.I.N.O.

okop także podchorąży Neupert ze swą drużyną, podczas gdy myśmy się jednocześnie posuwali rowami".

* * *

W ten sposób przedstawia się plan taktycznego rozwiązania wychowania w grupie, który miał wyniknąć z treści niniejszego artykułu.

KPT. KLEBAN EUGENIUSZ

O WŁAŚCIWĄ PODSTAWĘ WYCHOWANIA ŻOŁNIERSKIEGO

(Artykuł dyskusyjny)

Mimo że zagadnienia wychowawcze w wojsku stają się coraz bardziej popularne, są coraz szerzej i — trzeba przyznać — coraz bardziej naukowo stawiane i rozpatrywane, to jednak zgodzić się należy, że dalecy jesteśmy od rezultatu tych wysiłków. A jako rezultat widzę sformułowanie prawdziwie żołnierskiej etyki i ustalenie ściśle z nią związanej doktryny wychowawczej.

Studiując rozwój zagadnień wychowawczych nie widać, ażeby te dwa cele jasno wszystkim przyświecały. A już smutny jest widok ogromnego, zmarnowanego wysiłku w utarczkach o metody, tak jak gdyby sprawa najważniejsza, wzorzec i cel wychowania były znane i powszechnie przyjęte.

Nie mam zamiaru wysuwać jeszcze jednego sposobu, jak wychowywać na dobrego żołnierza, chodzi mi bowiem o sprawę zgoła mniej praktyczną, ale w całokształcie zagadnień wychowawczych kapitalną, może nawet w ogóle pierwszą, którą by trzeba rozważyć zanim coś się przedsięweźmie; chodzi mianowicie o *rozklasyfikowanie* tego zagadnienia.

Zacznijmy od krótkiej analizy pojęć.

Co nazywamy wychowaniem a co nauczaniem? Zgodnie z moim poglądem psychologicznym widzę w wychowaniu sumę oddziaływań mających na celu ukształtowanie w pewien sposób sfery duchowej człowieka, podczas gdy nauczanie (szkolenie) jest tym samym w odniesieniu do umysłu (intelektu), przy czym do tej ostatniej dziedziny włączone są również wszelkie zabiegi nad ukształtowaniem ciała, wyrobieniem sprawności.

Dualizm władz psychicznych ujmuję zupełnie wyraźnie; istnieje dla mnie ściśle rozgraniczenie pomiędzy uczuciem (sferą duchową) a umysłem. Genetycznie rzecz biorąc, widzę uczucie jako władzę wy-

rosłą na instynkcie, umysł natomiast — na zmysłach. Umysł jest więc władzą zwróconą całkowicie na zewnątrz[1]; na doświadczeniu zewnętrznym wykształcony, przeznaczony jest wyłącznie do zajmowania się rzeczami świata zewnętrznego. Instynkt zaś i z niego pochodne uczucie jest władzą wewnętrzną, tu bowiem, nie w umyśle, zogniskowane są źródła chcenia, które uważam za istotę natury ludzkiej.

Człowieka czynu — a przecież o takiego nam tylko chodzi — poznajemy i klasyfikujemy nie wedle tego co pomyślał, ale wedle tego co uczynił. A o tym co człowiek czyni, jak to z mechaniki aktu woli (czynu) wiemy, decyduje charakter, a więc sfera uczuciowa. Pomiędzy tym co ludzie potrafią pomyśleć, a tym co potrafią w czyn wprowadzić istnieje przepaść, jakże tajemnicza dla tych wszystkich, którzy nie chcą się dać przekonać, że „człowiek tkwi w sercu a nie w głowie"[2]).

Utrwalimy więc sobie w pamięci, że wychowanie interesuje się przede wszystkim stroną uczuciową (duchową, moralną, charakterem) wychowanka, nauczanie — umysłem i że to rozgraniczenie, aczkolwiek musi być ścisłe, to jednak istnieje tylko w sferze dialektycznego rozważania. Z praktyki bowiem wiemy, że zarówno praca wychowawcza wspiera nauczanie jak też nauczanie wybitnie pomaga wychowaniu. Dla rozważań ściśle teoretycznych ten podział musi być zachowany, w przeciwnym bowiem razie prowadzi do pomieszania celów, metod, środków nauczania i wychowania, co tyle stworzyło już zamętów w pracy wychowawczej.

Pamiętając, że wychowanie interesuje się dziedziną uczuciową, zdawać sobie musimy równocześnie sprawę, na co zdają się prace wychowawcze. Najogólniejszy cel wychowania musi być znany. Jest nim unormowanie *postępowania* człowieka. A wyrażając się bardziej precyzyjnie, chodzi tu o zapewnienie przyszłym czynom człowieka pewnej powinności, przy czym tę powinność należy rozumieć jako stałość i konieczność. W czynach człowieka na pewien wzór wychowanego widzieć będziemy uleganie stałym zasadom, prawom i nakazom. Wychowanie zmierza więc do opanowania nieokiełznania i dzikości natury ludzkiej, do wtłoczenia jej w jakieś ramy, przy czym aspiruje do tego, by taki kierunek nadać możliwie wszystkim aktom woli człowieka, ułożyć koryto dla przepływu całego postępowania.

Nie trzeba chyba długo się rozwodzić, że sfera, którą bierze do kształtowania wychowanie, gra w postępowaniu rolę decydującą. W bardzo tylko płytkim i pospolitym podejściu do zagadnienia, ro-

---

[1]) Por. H. Bergson, Ewolucja twórcza.

[2]) Schopenhauer.

zumieć można, że uczoność (intelekt) wystarczająco warunkuje postępowanie. Umysł tylko proponuje i przedstawia przed każdym czynem, w każdej sytuacji cały szereg tych propozycyj; są tam mądre lub mniej mądre, odważne i tchórzliwe, dobre i złe, piękne i brzydkie, moralne i niemoralne, wzniosłe i podłe, a z nich sfera uczuciowa (przywykliśmy mówić, wola, charakter) wybiera, decyduje. Od niej tylko zależy czyn.

Historia i życie nas otaczające mnoży się od przykładów ludzi o genialnych mózgach a słabych duchowo i na odwrót — potężnych duchem a nie grzeszących wiedzą. U jednych zawiodło wychowanie u drugich nauczanie. Opuszczony włóczęga genewski Rousseau oszołomił świat swoją mądrością, ale też i bezeceństwem postępowania, a naiwna pastuszka, uznana przez współczesnych jej Anglików za obłąkaną, Joanna d'Arc porwała siłą swej duszy upadły naród do czynu.

Załatwiwszy się tak z pojęciem wychowania, zastanówmy się z kolei, na czym miałoby polegać wychowanie *żołnierskie.*

Zgodnie z tym, cośmy wyżej powiedzieli, będzie w nim chodziło o takie ukształtowanie duchowe człowieka, by jako rezultat otrzymać pewien specyficzny sposób postępowania, mianowicie postępowanie żołnierskie.

A czymże się różni postępowanie żołnierskie od postępowania innych ludzi? Któreż to są propozycje czynów, które żołnierska dusza ma wybierać do realizacji, a których to propozycji nie będzie akceptowała dusza ukształtowana w innej szkole wychowawczej?

Otóż jest jeden jedyny taki czysto żołnierski akt woli, mianowicie — oddanie życia. Nie jakby ktoś powiedział: walka, bo walka ze swym poruszaniem się, zużywaniem środków wybuchowych , kierowaniem maszyn, kombinowaniem poruszeń, nie różni się wiele od czynów innych ludzi; wykonują przecież to samo i rolnicy i robotnicy fabryczni, górnicy, urzędnicy i ministrowie. Ale propozycja oddania życia i powinność akceptowania tej propozycji na drodze uczuciowej, czyli innymi słowy ochocza śmierć jest żołnierską wyłącznością.

Wprawdzie żołnierzowi mówi się, że celem walki i jej zakończeniem jest zwycięstwo, ale wszystkie kryzysy żołnierskie, jakie kiedykolwiek istniały, narodziły się ze świadomości innej, którą mimo wszystko żołnierz posiadał—ze świadomości, że walka może zakończyć się śmiercią, że za walką stoi śmierć.

Kryzysy żołnierskie?... A więc postępowanie nieżołnierskie, nie takie, jakiego by można się spodziewać jako rezultatu wychowania żołnierskiego.

Daleki, szczytowy cel wychowania żołnierskiego zaczyna się nam wyłaniać z mgieł...

Poza stosunkiem do śmierci nie widzę nic więcej istotnego, co by żołnierza odróżniało od innych ludzi. Uważam to za jedyne kryterium odróżnienia żołnierstwa od innych stanów, za jedyny probierz żołnierskiego wychowania.

Każdy, kto się do wychowania żołnierza zabiera musi sobie koniecznie zdawać z tego sprawę.

Takie więc tylko zadzierżgnięcie problemu żołnierskiego pozwala nam odwrócić sprawę wychowania żołnierskiego od mielizn, na których wielu chciałoby je widzieć. Nie, przy rozważaniu największego problematu żołnierskiego — duszy żołnierskiej, musi być, jak to się pięknie w swym wykładzie o wojsku i demokracji wyraził Józef Piłsudski — brany kolor błękitny, kolor nieba i czystej toni wodnej, symbol wieczności i nieskończoności.

I dlatego trzeba by zacząć mówić o etyce żołnierskiej. Bo wychowanie nie ma przysposobić do sprawnej obsługi maszyn do zabijania, tego doskonale uczy ćwiczenie fizyczne, przygotowuje teoretycznie nauczanie. Ma ono otworzyć źródła, z których by trysnęły uczucia akceptujące wszystkie czyny pola walki, a zwłaszcza pełen mistycznej głębi akt śmierci.

Gdy się przystępuje do budowy domu, fabrykacji samochodu czy szycia ubrania, to najpierw przygotować należy rysunek, plan domu, samochodu czy ubrania, potem określić odpowiedni do tego plan pracy i wreszcie zgromadzić potrzebne materiały i narzędzia. Z wychowaniem jest tak samo. Tu trzeba przede wszystkim wiedzieć, co się chce zrobić, według jakiego rysunku, wzoru ma być ukształtowany wychowanek, do tego wzorca należy dostosować plan pracy, metodę wychowawczą i wreszcie zapewnić sobie odpowiednie „pomoce wychowawcze"[1]).

Otóż, według mego przeświadczenia, bardzo wiele poświęca się u nas czasu i wysiłków gromadzeniu przeróżnych pomocy wychowawczych, jeszcze więcej — metodom, ale najmniej, bo prawie zupełnie nic wzorcom.

Ale bo też z tymi wzorcami sprawa nie jest znów taka prosta.

Jest to przynajmniej na wstępie dziedzina filozofii, do której w wojsku, a więc w społeczności ludzi czynu a nie abstrakcyjnej naukowości, niewiele ma się zaufania a jeszcze mniej okazji i czasu.

---

[1]) Analogicznie do pojęcia „pomoce naukowe".

Takim właśnie prototypem, źródłem podstaw dla wychowania jest etyka.

Etyka, będąc nauką normatywną, zajmuje się postępowaniem człowieka, porządkując je według wartości. Zajmuje się więc wartościowaniem postępowania człowieczego; przy czym jednak to wartościowanie jak zawsze zacząć się musi od czegoś, od jakiejś wartości pierwszej — od wartości wszystkich wartości.

Rzecz jasna, że wartość taka nie może się znajdować na ziemi w życiu doczesnym, bo wszystko co ziemskie jest względne i przemijające — „marność nad marnościami" lub buddyjska „złuda Maii".

Każda z etyk, która przetrwała wieki, opiera swoje wartościowanie na wartości pozarozumowej, irracjonalnej. Zdania etyczne zaczynające się od słowa „powinieneś" opierają zawartą w nich powinność i uzasadniają przeważnie objawieniem religijnym. Jest to więc odniesienie powinności i wartości pozarozumowe. A wychowanie nie ma nic innego do zrobienia, jak stąd wyprowadzony kodeks uczynić w człowieku żywy. Mając do czynienia z etyką żywą, mówimy o moralności, która polega na poddawaniu się „powinieneś" wskazań etycznych za cenę osiągania wartości, na których się dana etyka funduje.

Jeżeli więc tak ostro odróżniamy wychowanie żołnierskie od innego wychowania, to chyba dla wszystkich zrozumiałe będzie, że to wychowanie musi skądś czerpać sobie tylko właściwe i od wszystkich innych odmienne „powinieneś".

Etyka żołnierska musi być sformułowana. Postępowanie żołnierskie inne jest zupełnie niż postępowanie wyznawców innych etyk, a w tym postępowaniu zaprawia młodych żołnierzy wychowanie żołnierskie.

Niestety jednak wielu, bardzo wielu wychowawców nie widzi wzorców żołnierskich jasno, nie domyśla się istnienia źródeł, z których by je można otrzymać i posługuje się w swej pracy obcymi wzorcami.

I tu leży największa zapora dla swobodnego rozwoju zagadnień wychowawczych, które w stosunku do zagadnień etycznych są wyłącznie zagadnieniami metodycznymi czy doktrynalnymi.

Nie mając rysunku domu, samochodu czy ubrania, nie możemy opracować dobrego planu (metody) pracy czy przygotować odpowiednich narzędzi.

Zgodnie z zadaniem postawionym sobie na początku nie zamierzam obecnie ruszać zagadnienia wychowawczego od strony merytorycznej, to znaczy—ani rozważać metod czy doktryn wychowawczych, ani konstruować czy wybierać etyki, jakkolwiek zdaję sobie sprawę,

że takie właśnie ujęcie byłoby najciekawsze; chodziło mi bowiem wyłącznie o *rozklasyfikowanie* tego zagadnienia, a więc o rozpatrzenie czysto formalne. Przywiązuję mianowicie wielką wagę do przedyskutowania naszego zagadnienia od strony formalnej, a szczególnie do ugruntowania wśród teoretyków i praktyków wychowania znaczenia etyki — nauki, która jeżeli istnieje i kiedykolwiek istniała, to tylko po to, by służyć wychowaniu. A przy tej okazji powiedzieć coś zgoła nowego: etyka żołnierska. A dopiero gdy ten problem się zawiąże, gdy rozwiązanie jego stanie się ciekawe, ba może nawet pożądane — wtedy dopiero korzystne będzie poruszenie go od strony merytorycznej.

Reasumując więc przeprowadzone rozważania, chcę podkreślić moje tezy: jak w nauce o prowadzeniu wojny spotykamy się z pewnymi odwiecznymi i podstawowymi prawami będącymi fundamentem pod nieustannie nowe, bo zależne od szeregu zmieniających się czynników doktryny wojenne, tak i w wychowaniu, doktryna wychowawcza jako sposób posługiwania się posiadanymi środkami i materiałem ulega przeobrażeniom. Nie ulegają im natomiast prawa rządzące duszą ludzką i jak prawa wojny odwieczne przykazania rządzące duszą żołnierską.

Prawa formułuje psychologia, etyka zaś — przykazania.

Mamy pilny interes znać te prawa, a jako wychowawcy musimy doskonale wiedzieć według jakiej koncepcji etycznej wychowujemy — znać przykazania jest to interes jeszcze pilniejszy. Obok psychologii żołnierskiej musimy znać etykę żołnierską. Musimy czym prędzej wiedzieć nie tylko „co jest", ale przede wszystkim „co być powinno".

DZIAŁ III — MATERIAŁY POMOCNICZE.

DZIAŁ III — MATERIAŁY POMOCNICZE.

JÓZEF KISIELEWSKI

POLSKA SIĘGAŁA ZA ODRĘ, SŁOWIAŃSZCZYZNA ZA ŁABĘ.

„Polak jest Słowianinem. Polska jest sercem i mózgiem Słowiańszczyzny".

W czasach pokoju, który jest okresem gromadzenia i przysposabiania sił, toczy się również walka, choć bronią w niej są nie pociski, ale argumenty. W tej pokojowej walce może być obrona, może być natarcie, napad i agresja. Zadaniem tej walki pokojowej jest stworzenie podstaw dla przyszłej walki orężnej, wskazanie jej celu i urobienie opinii, że cel ten jest słuszny.

Gdy się kto dobrze przypatrzy zabiegom, które czynią dzisiejsze Niemcy, łatwo spostrzeże, że w tym zakresie, w tej walce na słowa, podjęli oni niesłychanie silną ofensywę na dzisiejsze ziemie polskie. W czasach, gdy panują jeszcze stosunki pokojowe, kiedy jeszcze padają zapewnienia o najlepszych między sąsiadami stosunkach, nauka niemiecka, a za nią wiele instytucji i samo społeczeństwo tamtejsze twierdzi, że ziemie polskie nie są ziemiami, na których Polacy mieszkali od dawna.

Nauka niemiecka twierdzi, że jesteśmy na tych miejscach, gdzie stoi dziś Poznań, Toruń, Gdańsk, ba! Kraków i Warszawa, świeżymi przybyszami. To dowodzenie ma na celu przekonanie świata całego, a także samych Polaków, że nie mają oni do swego terytorium większych praw, i że zagarnięcie tych ziem byłoby sprawą słuszną. W razie ewentualnej wojny, takie argumenty, taka propaganda może oddać Niemcom wielkie usługi, bo raz, że żołnierz niemiecki przekonany nią będzie walczył z większym zapałem, po wtóre świat—jeśli się go przekona — nie będzie się oburzał na niesprawiedliwą wojnę.

Według niemieckiej propagandy na ziemiach dzisiejszej Polski, aż po rzekę Bug mieszkali od wieków zawsze Germanie, czyli poprzednicy dzisiejszych Niemców. Taka bezkrwawa wojna w czasach pokoju nazywa się walką na argumenty, ale argumenty mogą być prawdziwe albo mogą być fałszywe. Niemcy dzisiejsze posiadają rozma-

itego rodzaju namiastki, *ersatze*, fabrykuje się tam fałszywe masło, fałszywą mąkę, fałszywe drożdże, czemuż się dziwić, że na wielką skalę Niemcy fabrykują również fałszywe argumenty. Dowodzenie tego, że na polskich ziemiach mieszkali kiedyś dawniej Germanie jest wśród tych niemieckich namiastek kłamstwem największym. Największym dlatego, że nie tylko nie jest prawdą ta rzekoma niemieckość ziem dzisiejszej Polski, ale przeciwnie—właśnie prawdą jest, że Polska sięgała swoimi granicami daleko w głąb dzisiejszych granic niemieckich.

Skąd mogło powstać takie kłamstwo?

Zanim zostaną opisane te dawne granice Polski, warto się zastanowić, skąd, z jakiego powodu można dziś głosić takie wierutne kłamstwa, nie narażając się na powszechne oburzenie. Powód tkwi jeszcze w naszej minionej niewoli politycznej. Polska przez pozostawanie w niewoli straciła nie tylko politycznie, gospodarczo i kulturalnie, ale straciła również pod względem naukowym.

W wieku dziewiętnastym, a więc w tym stuleciu, w którym siły polskie krwawiły się w walce z najeźdźcą, nauka we wszystkich kierunkach bardzo znacznie się rozwijała. Można powiedzieć, że właśnie w tym minionym stuleciu ustalały się podstawy współczesnej nauki. A więc także w dziedzinie historii. Wtenczas to właśnie, kiedy Polacy zajęci byli wyzwalaniem się z niewoli politycznej i na nic innego czasu nie mieli, nauka niemiecka podstępnie, ale wytrwale wybudowała pewną teorię, którą rozniosła na cały świat. A rozniosła tak umiejętnie i z taką pruską pedanterią, że do dziś jeszcze to, raz zaszczepione kłamstwo, nie może być do szczętu usunięte.

Ta niemiecka teoria dotyczyła granic dawnego zasiedlenia Germanów. Krzywdziła ona zresztą nie tylko Polskę, krzywdziła również inne ludy. Niemieccy uczeni ukuli kłamstwo, według którego właściwie cała środkowa Europa zajęta była kiedyś przez plemiona germańskie.

A jak było naprawdę?

Aby zburzyć i zniszczyć ten niemiecki fałsz i zrozumieć jak było naprawdę — trzeba przyjrzeć się mapie. Bez dobrej mapy współczesnej Europy nie można rozważać tych spraw, nie można prowadzić tej pogadanki. To, co tu robimy jest rzeczą ważną i żartów nie zna.

Jak było naprawdę? Było tak:

Europę środkową i północną zamieszkiwały w dawnych czasach, w czasach jeszcze przedchrystusowych dwa ludy — Słowianie i Germanie. Naprzód gdzie mieszkali Germanie? Ich siedzibą był zrazu

wyłącznie tylko Półwysep Skandynawski, a więc ten teren, gdzie dziś rozciąga się Szwecja i Norwegia. Tam, w tym skalnym i chmurnym kraju, mieszkali przez długie stulecia praojcowie dzisiejszych Niemców. Ale Półwysep Skandynawski jest ziemią niegościnną; w dawnych czasach był jeszcze zimniejszy, jeszcze bardziej jałowy i nieurodzajny niż dzisiaj. Obyczaje panowały surowe. W latach nieurodzaju panował wśród ludów tamtejszych taki zwyczaj, że rodzice wyganiali z wiosek chłopców, gdy ci kończyli dziecięcy okres życia. Niech chłopiec idzie szukać sobie pożywienia własnym przemysłem.

Więc szli, wyrzuceni z rodzicielskiego gniazda. Zbierali się nad brzegami morza i przemyśliwali, co by począć, aby ujść głodowi i zimnu. Słabi ginęli, mocniejsi ostawali się. A mając wiele czasu i rozpacz na karku zaczęli budować łodzie i tymi łodziami przeprawiać się na bliski ląd europejski. Można sobie wyobrazić, co to byli za ludzie, ci, wychowani przez zimno, głód i chmurne północne niebo. Gdy przedostali się na ląd, nie przychodzili się z nim pieścić, ale rzucali się nań, jak sfora wygłodniałych zwierząt. Przebiegali łupieskimi gromadami, myszkując, co by zrabować i zniszczyć.

Rzecz prosta wybierali najłatwiejsze drogi. Takimi najłatwiejszymi drogami były ujścia rzek europejskich. Naprzód, na samym początku, ujście Renu. Przez tę gardziel rzeczną dostawały się dzikusy germańskie w głąb lądu. Spławnością rzek oraz drogami przyrzecznymi zapuszczali się daleko, niektórzy z nich dostawali się do Italii, inni jeszcze dalej, do Afryki.

Ale plenność Półwyspu Skandynawskiego była bardzo wielka. Nie wystarczał niebawem Ren. Zasmakowali w łupiestwie owoców cudzej pracy. Wśród Skandynawów rozeszła się szeroka wieść o wielkich skarbach, które posiadają spokojne ludy rolnicze. Wydoskonalono sposoby, jakimi można by te skarby posiąść. Po Renie przyszła kolej na ujście rzeki Łaby, później nawet Odry i Wisły.

Wielka, szeroka Słowiańszczyzna.

A ci, którzy kierowali się do ujścia tych rzek i czynili nimi wypady w głąb lądu, spotykali się już nie z Celtami, jak za Renem, nie z Rzymianami, jak w Italii, ale z innym ludem, który wówczas zalegał całą środkową Europę — ze Słowianami. Wielki to był lud. Wystarczy popatrzyć na mapę, aby przekonać się o tej wielkości. Na południu sięgał poza Karpaty, obejmował część Półwyspu Bałkańskiego, na wschodzie gubił się w bezkresnych stepach i łączył z Azją, na północy granicą było mu Morze Bałtyckie, które wówczas nazywało

się *Mare suevicum*, czyli Morze Słowiańskie. Na zachodzie zaś dochodził miejscami aż do rzeki Ren. Więc wielki teren, więc wspaniałe dzierżawy. Samo serce Europy, a wokół tego serca jeszcze spora nawiązka ze wszystkich stron.

Na ziemiach tych mieszkał lud złożony z wielu szczepów i plemion, które wszystkie mówiły podobnym językiem i wszystkie prowadziły mniej więcej ten sam tryb życia. Trzeba sobie wyobrazić owe dawne zamierzchłe czasy. Ta Europa środkowa oddzielona była od wszystkich innych cywilizowanych krajów olbrzymimi puszczami. Prowadziła, nie narażona na napady, spokojny tryb życia. Tryb życia rolniczego. Zawiązywała się tu, za ochroną wielkich puszcz, osobna a piękna cywilizacja słowiańskiego życia osiadłego. Dopracowali się ci Słowianie nie tylko znacznych dorobków rolniczych, ale zdołali już wykształcić sobie rzemiosło i początki przemysłu. Było tu i garncarstwo, i snycerstwo, i browarnictwo, i górnictwo, i wiele innych działów rękodzieła i przemysłu. Istniał poza tym wcale szeroko rozwinięty handel. Na brzegu Bałtyckiego Morza powstały liczne handlowe miasta, a wśród nich miasta wielkie, można powiedzieć całe ośrodki handlowe, takie jak Wołyń[1]), jak Szczecin, czy wreszcie Gdańsk.

A co jeszcze ważne, to to, że ci spokojni rolnicy wytworzyli na całym swoim terenie bardzo piękne i szlachetne obyczaje. Ustrój był rodzinny, patriarchalny; ojciec sprawował wysoką władzę i baczył, aby rodzina jego pieczy powierzona prowadziła bezgrzeszne, bogobojne życie. Jednym z najwyższych praw rządzących tych ludem było prawo gościnności. Słowianin za największe przestępstwo uważał odegnanie od drzwi swej drewnianej, ale dostatniej, we wszystko zaopatrzonej chaty zdrożonego gościa. Korzystali z tej gościnności i pięknie się za nią odpłacili przybysze germańscy, oddając za chleb klingę zbójeckiego miecza. Ale o tym powiemy później.

Dwaj świadkowie — Biskupin i Wołyń.

Nasuwa się pytanie, skąd my o tym wszystkim wiemy, skoro Słowianie w tych zamierzchłych czasach nie umieli jeszcze pisać i nie zostawili nam żadnych pisanych świadectw. Pisanych nie, ale zostawili inne. Świadectwa, które przez kilkadziesiąt stuleci leżały w ziemi, a teraz zostały wydobyte na powierzchnię, aby świadczyć i krzyczeć ku nam wielkim głosem prawdy.

Pięć lat temu pewien nauczyciel w Wielkopolsce znalazł nad brzegiem jeziora, które leży obok wsi Biskupin, kawał zmurszałego drzewa. Nauczyciel był człowiekiem światłym, drzewo nie wydawało

---

[1]) Koło Szczecina.

mu się drzewem zwyczajnym, dał znać do Uniwersytetu Poznańskiego, który zaczął w tym miejscu rozkopywać ziemię. I czegóż się od razu dokopano?! Ni mniej ni więcej tylko drewnianych resztek wielkiej, stokilkadziesiąt chat liczącej osady nadbrzeżnej. Idąc po nitce do kłębka uczeni ustalili, że osada ta pochodzi z piątego wieku przed narodzeniem Chrystusa, a zamieszkiwana była przez Słowian, których w tych czasach nazywano ludźmi *„kultury łużyckiej"*. Dwadzieścia pięć wieków! Ładny czas, a Niemcy mówią, że mieszkamy na ziemiach dzisiejszej Wielkopolski, dzisiejszego Pomorza dopiero od niedawna.

Rozkopując brzeg jeziora biskupińskiego natrafiono w mule, piasku i glinie na wiele przedmiotów codziennego użytku, którymi się ci nasi praojcowie posługiwali: więc żarna, igły, misy, dzbany, więc kolczyki kobiece, szpile, zatrzaski, więc kawałki obuwia, resztki ubrań, części narzędzi tkackich, rybackich i rolniczych. A wśród tych dziesiątków tysięcy przedmiotów, ani jednego, słyszycie, ani jednego przedmiotu pochodzenia z kultury germańskiej!

Ale nie tylko to! W Biskupinie odkopano doskonale zachowane zręby chat; na podstawie tych resztek można poznać doskonale sposób budowania domów przez naszych praojców. Była to budowa, która się nazywa „na łątkę". I wystarczy znad tego jeziora biskupińskiego, z miejsca wykopalisk pójść spacerem do dzisiejszej wsi Biskupin, aby wśród stojących tam chat odnaleźć dziś jeszcze zamieszkałe chaty zbudowane tak samo, kubek w kubek — „na łątkę". Jest to odkrycie przełomowe, jest to dowód niezbity, że Słowianie, że nasi w prostej linii praojcowie mieszkają na tym samym miejscu co najmniej dwa i pół tysiąca lat. Ładny czas!

Innego odkrycia dokonano w miejscowości, dziś leżącej w głębi państwa niemieckiego, która nosi piękną słowiańską nazwę Wołyń (zobacz na mapie). W tej to miejscowości, która jest niewielkim miasteczkiem, przed kilkoma laty zapadła się część rynku. Usunęła się kilka metrów w głąb, zostawiając wielką szczelinę. Dano natychmiast znać uczonym w Szczecinie, a ci skwapliwie wzięli się do kopania. Skwapliwie, bo w butnej pysze myśleli, że wydobędą z tych wykopalisk dowody niemieckości tych ziem koło Szczecina.

Kopią, kopią i oto spod łopat niemieckich uczonych wydobywają się na światło dzienne resztki wielkiego handlowego miasta, które było wspaniałym bałtyckim portem. Teraz było za późno cofać wykopaliska, już się zanadto świat nimi zainteresował. Więc radzi nie radzi musieli ogłosić wyniki wykopalisk: że na tym miejscu, gdzie do morza bałtyckiego wpada piękna rzeka Dziwna, jedno z ramion Odry,

stało wielkie, największe w tych stronach miasto portowe Słowian, posiadające wysoką kulturę, wszystkie urządzenia, bruk, składnice targowe i portowe, bogato rozwinięty przemysł i handel. Niemcom specjalnie przykro było te rzeczy ogłaszać, bowiem zawsze dotąd twierdzili, że Słowianie nigdy miast własnych nie posiadali, że tylko gnieździli się bezładnymi kupami w drewnianych chatach. A tu dowód niezbity na istnienie olbrzymiego miasta, głęboko w mroku wczesnego średniowiecza osadzonego. W tych czasach, kiedy Germanie byli jeszcze dzikimi hordami żądnych krwi rabusiów.

Jeszcze bardziej na zachód.

Ale cóż miasto Wołyń — ono leży zaledwie przy Szczecinie, koło Odry. Odkrycia i świadectwa odsłoniły się również i bardziej na zachód. Patrząc na mapę, jakieś stokilkadziesiąt kilometrów dalej za Szczecinem natrafia się na wyspę Rugię. Wykopaliska, prowadzone na tej wyspie dały wyniki, które Niemcy równie skrzętnie chcieliby schować i wymazać: bo każdy na tej wyspie kamień, każda skorupa wygrzebana z ziemi, każda chata dziś jeszcze tam się znajdująca a kryta słomą — świadczy niezbicie o słowiańskim charakterze wyspy.

Nie tylko Rugia. Idźmy jeszcze dalej na zachód. Przy zbliżaniu się do brzegów Morza Północnego zabiega nam drogę wielka rzeka Łaba, którą Niemcy przechrzcili na Elbę. Na owym terenie od Łaby do Odry jeszcze dziś są niezbite dowody słowiańskości tych ziem. 75%, zapamiętajcie: siedemdziesiąt pięć procent wszystkich nazw tutejszych ma brzmienie słowiańskie. Mało tego. W mowie ludzi tutejszych plączą się w znacznej ilości słowa pochodzenia słowiańskiego: na wieśniaków mówi się tutaj *„klopleute“*, na dziecko — *„dzecko“*, mówi się tu *„precz“*, mówi się *„kładz dich“*, mówi się na błoto *„blot“* a na niewymowną część ciała *„dups“*. Kto chce więcej tych przykładów, niech zajrzy do odpowiednich książek, a wtenczas się dowie, że Słowiańszczyzna na tych dalekich terenach wcale nie wygasła, ale trwa, ale jest w stu żywych, codziennych świadectwach. Na tych dalekich terenach mową słowiańską mówili ludzi niedawno, jeszcze w czasach ostatniego króla polskiego, jeszcze w czasach powstania listopadowego.

Lecz i na Łabie nie koniec. Słowiańszczyzna sięgała dalej podchodząc pod rzekę Ren. Koło miejscowości Eisenach (patrz na mapę) znajduje się wioska, w której stoi stara drewniana figura święta. Ludność miejscowa nazywa tę figurę *„pomagaj bok“*. Nikt nie rozumie

pochodzenia tej starodawnej nazwy. Albo nie chce zrozumieć. Nie chce zrozumieć, że to resztki dawnego języka słowiańskiego i słów z niego „Pomagaj Bóg".

Taki właśnie był w niedawnych jeszcze czasach zasięg Słowian, którzy są naszymi przodkami. Aż do Renu, nie mówiąc o Łabie i Odrze. Warto tym rzeczom przyjrzeć się na mapie. A przyjrzawszy się, warto mieć w pamięci kilka płynących stąd prawd:

że wielka część dzisiejszych ziem niemieckich jest pochodzenia słowiańskiego,

że Prusy, a więc serce dzisiejszych Niemiec, nie mają pod swymi stopami ani jednego centymetra kwadratowego ziemi germańskiej,

że Niemcy używają wszelkich sposobów, wszelkich kłamstw i wykrętów, aby tę wstydliwą prawdę ukryć, zagadać, zakrzyczeć.

Rzucają najrozmaitsze zmyślone twierdzenia, licząc, że może się uda zamydlić oczy poczciwym i łatwowiernym Polakom. Ale prawda jest jedna, prawda jest taka: gdyby wybuchła kiedy między Polską a Niemcami wojna *i przyszło polskim wojskom zdobywać Berlin, to te polskie oddziały powinny wiedzieć, że zdobywają miasto, które kiedyś leżało w granicach Polski.*

Trzy rodzaje podstępu.

Kiedy oddziały dzikusów skandynawskich zasmakowały w wycieczkach na ląd europejski, wypraw tych zaczynało mnożyć się coraz więcej i nie wystarczyło już ujścia Renu. Zabrano się więc do innych ujść rzecznych: Łaby, Odry i Wisły. Te pierwsze naloty były groźne, ale krótkotrwałe. Watahy dzikich Germanów spadały jak szarańcza na schludnie zagospodarowane, bogate siedziby Słowian, rabowały, łupiły, mordowały, lecz bardzo szybko ginęły albo od siły obrońców, albo od rozkładowego działania rabunku. Dziki człowiek, dostawszy się w wielkie bogactwo, zbyt zachłannie poczyna go używać i niebawem od nadmiaru tego dostatku ginie. Tak było z pierwszymi najazdami Germanów na ziemie słowiańskie.

Powoli jednak Germanie, idąc ze Skandynawii, poczęli osiadać na stałe po wybrzeżach Bałtyku. Wielu ginęło, wielu smakowało tylko w lotnych wyprawach łupieskich, ale ten i ów zostawał na roli. Uczył się od Słowian uprawy ziemi, rzemiosła, jak dziecko uczy się

od starszych abecadła. Po upływie kilku stuleci już wcale pokaźna liczba plemion germańskich taką naukę przeszła i osiadła zwartą masą na wydartych Słowianom terenach.

W tym czasie zachodzi fakt, który bardzo apetytom i losowi Germanów pomógł. Zapuszczali się oni i łupili nie tylko ziemie słowiańskie, ale szli dalej na południe, docierali do chylącego się wówczas ku upadkowi państwa rzymskiego. Odarli je naprzód z bogactw, a gdy tych już nie stało, zaczęli się od pokonanych Rzymian uczyć. Od Słowian nauczyli się rolnictwa i rzemiosła, od Rzymian nauczyli się czytania i pisania, przejęli wiele urządzeń kulturalnych. A jak każdy neofita jest bardzo gorliwy w krzewieniu nowo pozyskanych prawd, tak i Germanie zaczęli zaraz uczyć drugich tego, czego sami zaledwie liznęli. Rozpoczęli więc roznosić po całej Europie zdobycze cywilizacji rzymskiej.

Gdy uczeni niemieccy wspominają dziś te czasy, twierdzą z dumą, że całą cywilizację dali Europie tylko oni. Tymczasem to jest nieprawda. Nie oni byli twórcami cywilizacji europejskiej tylko Rzymianie, tylko Chrześcijaństwo. Niemcy byli tylko tej cywilizacji listonoszami. Wszystko zapożyczyli albo zrabowali od drugich. Nawet taką drobną rzecz jak ukłon. Gdy się dziś hitlerowiec wita, podnosi prawą rękę do góry. Jest to wierna kopia ukłonu rzymskiego.

Znali już rolnictwo, nauczyli się rękodzieła, obładowani zostali cywilizacją starożytnego Rzymu. Razem z tą nauką przyszła żądza zajęcia dla siebie całej Europy. Już wtenczas! Ze swoich osiedli wzdłuż Renu i na brzegach mórz północnych podjęli wyprawy zdobywcze na Słowian. Chcieli od razu zająć cały ich teren, ale od zamiaru do jego wykonania długa droga. Pracują już nad tą grabieżą od kilkunastu stuleci, a przecież nie udało im się w zupełności i, da Bóg, nie uda nigdy.

Warto się przyjrzeć sposobom, jakimi Niemcy postanowili swoje plany przeprowadzić i częściowo zrealizować. Więc oczywiście przede wszystkim — miecz, przemoc, grabież. Ale na miecz jest miecz, na przemoc jest bohaterska obrona, a Słowianie byli narodem dzielnym. Więc często gromili Niemców, tak że z ran długo lizać się musieli. A liżąc się i mając wiele czasu, wymyślali nowe sposoby. Kombinowali w podstępnych głowach tak: Słowianie tchórzami nie są, więc miecz nie na wiele się przydaje; ale Słowianie są dobrotliwi i gościnni, chętnie podtrzymują handel i Słowianie są... kłótliwi. Niemcy wyzyskali te ich cechy charakteru.

I oto powstają trzy sposoby, którymi Germanie przecież zdołali coś ze swoich planów wykonać, zabierając Słowianom ziemie od Łaby poza Odrę. Tych sposobów głównych jest trzy:

Pierwszy sposób polega na wyzyskiwaniu dobroduszności i gościnności charakteru słowiańskiego. Przychodzili Niemcy do władców, do książąt słowiańskich łasili się i przymilali, ofiarowywali przyjaźń i prosili, żeby im wolno było osiadać na ziemiach słowiańskich. A gdy im pozwolono, gdy uwierzono w przyjaźń, Niemcy, wzrósłszy w siłę, zwracali się przeciw swoim dobroczyńcom, wypierając ich z dotychczasowych posiadłości.

Drugi sposób polegał na wyzyskiwaniu cechy kłótliwości słowiańskiej. Podszczuwano jedno plemię przeciw drugiemu; cieszono się, gdy z tego podszczucia bracia brali się za łby. A kiedy wycieńczeni bratnią kłótnią i walką słabli, wówczas zagarniano im ziemię.

Trzeci sposób był handlowy. Drogą umizgów i obłudnej przyjaźni oplatali ziemię słowiańską swoim handlem, zbierali z niej podstępem całe złoto i wszystkie bogactwa, a gdy je już posiedli, poczynali dyktować swoje warunki.

Takie trzy sposoby. Ale historia nie jest po to, aby tylko wiedzieć, co się działo dawniej. *Historia jest po to, aby się z niej uczyć, aby drugi raz już nie popełniać dawnych błędów.* Z tej historii dawnych Słowian płynie ważna nauka, ważna, najważniejsza na dzień dzisiejszy. Nauka, którą każdy Polak musi sobie mocno zakarbować w pamięci, jeśli chce, żeby jego Ojczyzna była wielka, a gdy przyjdzie do rozprawy z wrogiem, żeby go zwyciężyć.

Dwa państwa morskie i jedno lądowe.

Kiedy się mówi, że Słowianie sięgali aż do Renu, to nie ma się na myśli tylko tego, że mieszkali w rozproszeniu, pojedynczymi okolicami, oddzielonymi od siebie i niczym nie związanymi wioskami. Nie! Słowianie posiadali swoje państwa, swoje odrębne organizmy polityczne. Państwa wielkie, bitne, bogate i ludne.

W okolicy rzeki Łaby istniało na kilka jeszcze wieków, nim powstała do życia Polska, potężne państwo Obotrytów. Było to państwo monarchiczne, na jego czele stał książę, rozporządzający drużynami wojskowymi i silną flotą; ludzie tego państwa mówili językiem połabskim. Siła Obotrytów polegała na handlu morskim i na potężnej flocie. Tak potężnej, że przez kilka wieków była ona największą siłą na tamtejszych morzach. Miło jest sobie o tych sprawach pomyśleć dziś, gdy Polska, uzyskawszy choć mały skrawek lądu, buduje swoją flotę i staje się państwem morskim. Miło jest myśleć, że w stru-

mieniach słowiańskiej krwi, która płynie naszymi żyłami, leży bogate doświadczenie morskie, mogące wieść do wielkiej potęgi.

Idąc od Obotrytów dalej na wschód, nad rzeką Odrą napotkać było można wielką rzeczpospolitą słowiańską z czterech szczepów złożoną, państwo Weletów, czyli Wilków (jedna nazwa pochodzi od przymiotnika „wielkie", druga nadana została z powodu waleczności tych ludów). Oczywiście i Weleci posiadali flotę, umieli się parać rzemiosłem morskim, wszak brzegi Bałtyku zamieszkiwali, ale ponieważ ich terytoria również daleko w głąb lądu, aż po Berlin sięgały, więc była to przede wszystkim potęga lądowa.

Długi czas się ta potęga utrzymywała, aż do czasu, gdy Niemcom udało się plemiona te ze sobą powaśnić, a powaśniwszy opanować. Obotryci ulegli, gdy sprzymierzono się przeciw nim z trzech stron i zwołano do pomocy niemal całą północną Europę, Weleci ulegli przez rozpętanie wśród nich wzajemnych braterskich walk.

Wymieniając te dawne państwa słowiańskie, nie można pominąć jeszcze jednej wielkiej potęgi, mianowicie tej, którą wytworzyli na swojej wyspie słowiańscy Rugianie. Rugia jest wyspą niewielką, ale na tym niewielkim skrawku odosobnionej ziemi doskonale mogła powstać wielka państwowa siła morska, która, jak dzisiejsza Anglia, ze swego niewielkiego wyspiarskiego terenu panowała nad licznymi ziemiami, leżącymi na sąsiednich wybrzeżach. Upadek Rugii złączony jest z cechą gościnności słowiańskiej i z zawierzeniem Rugian uprzejmości i przyjaźni niemieckiej. Przez kilka stuleci książęta rugijscy pozwalali na swojej ziemi osiedlać się Niemcom, aż ci ostatni zagarnęli całą wyspą.

I największe państwo — Polska.

Z Rugii już tylko krok do Szczecina. A ze Szczecinem zaczynają się ziemie, które wchodziły w skład państwa polskiego. To — czwarte wielkie państwo słowiańskie, z istniejących na zachodzie słowiańskich państw — największe.

Dziś o tym nie pamiętamy, dziś starają się nam to wybić z pamięci, ale dobry Polak pamiętać powinien dobrze dawne granice Polski, granice z tych czasów, kiedy Polska powstawała w X i XI stuleciu. Więc przypomnijmy je sobie (ciągle patrząc na mapę):

Pierwszy historyczny władca Polski Mieczysław I posiadał taką granicę zachodnią: Pomorze sięgało aż do Odry (za Krzywoustego granica szła jeszcze dalej, obejmując również wyspę Rugię), później Odrą szła na południe, niebawem przekraczała tę rzekę, zagarniała tak zwaną Ziemię Lubuską oraz miejsca, na których wzno-

si się dzisiejszy Berlin (pamiętajcie! nazwa stolicy Niemiec ma brzmienie czysto słowiańskie!!), a idąc jeszcze dalej ku południowi, obejmowała cały Śląsk. Taka była granica zachodnia pierwszej Polski, Polski Mieszka i Chrobrego, której wielkość i mocarstwowość dziś wywołujemy coraz częściej w pamięci.

Każdemu, gdy to czyta, musi się nasunąć pytanie, dlaczego dziś o tym u nas niewielu tylko ludzi pamięta. Dlaczego? Dla tych samych powodów, dla których ukryto przed naszymi oczyma inną prawdę, że nad Łabą jeszcze niedawno mówili ludzie językiem słowiańskim, że nad Odrą jeszcze pięćdziesiąt lat temu mówiono po polsku, że jeszcze dziś mówią po polsku ludzie na Pomorzu Zachodnim i opodal samego Berlina! Niemcy robią wszystko, aby drogą naukową, prasową, książkową, radiową i za pośrednictwem wszystkich dostępnych środków trzymać Polaków w nieświadomości, żeby broń Boże nie zaczęli o tym u siebie rozmawiać. Bo wtenczas okaże się jak na dłoni, że to Polska w środku Europy była odwieczną potęgą, a Prusy były małym lennym państewkiem potężnej Polski.

Na Polsce załamała się germańska przemoc.

Posługując się przytoczonymi poprzednio sposobami, zawojowali Niemcy kolejno Obotrytów, Weletów i Rugię — zatrzymali się dopiero na państwie polskim. Polska położyła tamę zalewowi germańskiego barbarzyństwa. Co prawda ponieśliśmy przy pełnieniu tej misji pewne straty, przez tysiąc lat granica państwa polskiego cofnęła się przecież od rzeki Odry ku rzece Wiśle. Ale po pierwsze: *ziem tamtych nie uważamy za ostatecznie stracone, po wtóre za największą zasługę poczytujemy sobie sam fakt zatrzymania wreszcie najazdu germańskiego.* Gdyby nie istnienie Polski, nie wiadomo dokąd zaszłyby łupieskie plemiona germańskie. Może do Uralu?!

Na przestrzeni dziejów prowadziła Polska z Niemcami wiele wojen, zwłaszcza w pierwszych wiekach swego istnienia. Prowadził z nimi wojny Mieszko I, prowadził trzy wojny Bolesław Chrobry, bił się zwycięsko Bolesław Krzywousty, a po nim inni królowie. I rzecz znamienna: *wojny z Niemcami nie przegraliśmy nigdy.* Poszczególne bitwy owszem, zdarzało się; nierozegrane bitwy, owszem były, ale przegranej wojny nie było nigdy. Pobłażliwie, aż nazbyt pobłażliwie patrzyła Polska na podstępne działania elektorów brandeburskich i komturów krzyżackich, wiele im wybaczała, ale raz postanowiwszy rozprawić się z nimi rozgromiła potęgę germańską pod Grunwaldem.

Wymowa tej ostatniej wielkiej wojny Polski z Niemcami ma swoje znaczenie dla stosunków polsko-niemieckich aż po dzień dzisiejszy.

Wspomnienie Grunwaldu powinno być ostrzeżeniem i przestrogą.

Bo przecież nie można zakrywać tego, że ta niepohamowana zachłanność na cudzą ziemię bynajmniej nie zelżała w charakterze dzisiejszego Germanina. Kto czyta gazety i słucha radia, ten wie, że Niemcy znowu znajdują się w fazie swego łupieskiego szaleństwa, znowu planują grabieże obcej ziemi. Ta żądza grabieży znów doprowadzi do rozprawy, jak tyle razy w dziejach. I jak to już było w dziejach, znów Polska będzie zaporą, bastionem i hamulcem nienasyconej zachłanności Niemców.